Nr 296. Kraków, Czwartek 25 Grudnia 1902. Rok XXI.

„Nowa Reforma" wychodzi codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych.

Prenumerata wynosi:

	rocznie:	półrocznie	kwartalnie:	miesięcznie
W miejscu	24 koron	12 koron	6 koron	2 korony
W Austro-Węgr. z przesyłką poczt.	32 „	16 „	8 „	2 kor. 70 h.
W Państwie Niemieckiem . . .	36 „	18 „	9 „	3 „ — „
We Włoszech, Francyi, Anglii, Belgii, Szwajaryi, Turcyi i inn. krajach	48 „	24 „	12	4 „ — „

Oddzielny numer (z ostatnich trzech dni) kosztuje 10 h., z przesyłką pocztową 12 h. — We Lwowie w Biurze dzienników A. Olszewskiego ulica Kilińskiego 2 i Plohna, ul. Karola Ludwika 9, do nabycia po 12 h. *Prenumeratę przyjmuje się tylko na cały miesiąc.*

Listy z pieniędzmi i przekazy pieniężne na prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) uprasza się nadsyłać franco do Administracyi „N. Reformy" w Krakowie, — Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.

Rękopisów nadsyłanych Redakcya nie zwraca.

Adres Redakcyi i Administracyi: „N. Reforma" ul. Jagiellońska 10. Telefon Redakcyi i Administracyi Nr 41. — Nr rach. poczt. Kasy oszczęd. 857.484

NOWA REFORMA

Prenumeratę przyjmują:

zamiejscową: Administracya „Nowej Reformy" i wszystkie urzędy pocztowe; **miejscową**: administracya „Nowej Reformy" Główna trafika w Rynku. — Agencya J. Hopcasa i A. Salomonowej, plac Maryacki 2. — Handel St. Karlińskiego, Sukiennice. — Handel Kretschmera, Rynek, — Handel J. Eklera, ul. Karmelicka 18. — **Zamiejscową prenumeratę i ogłoszenia** przyjmują: Biura dzienników we **Lwowie** Ludwik Plohn, ul. Karola Ludwika 11, S. Sokołowski. — W **Przemyślu** Heszeles. — W **Jarosławiu** L. Strassberg. W **Wiedniu** pp. Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie nad Menem, Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu). — A. Oppelik, R. Mosse (także w Berlinie Hamburgu, Monachium i Norymberdze). — Hermann Goldschmied, M. Dukes Nachf., H. Schalek, J. Danneberg. — W **Paryżu** Société Mutuelle de Publicité A. Lorette, directeur, Rue Caumartin, 61. **Ogłoszenia** (inseraty) przyjmuje administracya, Kraków, Jagiellońska 10, za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) za pierwszy raz 20 h., za każdy następny raz po 10 h. — **Nadesłane** po 60 h od wiersza za każdy raz. — **Nekrologia** po 50 h od wiersza. — **Głosy publiczne** po 2 kor. od wiersza układ tabelaryczny, cyfrowy, skomplikowany pierwszy raz 40 h następny po 20 h od wiersza. — **Załączniki** do „N. Reformy" (prospekty cyrkularze, ogłoszenia itp.) przyjmuje się za cenę 2 kor. od 100 egz. dla zamiejscowych, a 1 kor od 100 egz. dla miejscowych prenum.

Należytość należy naprzód nadsyłać przekazem pocztowym.

Od wydawnictwa „N. Reformy".

Dla **feletonu powieściowego** pozyskaliśmy, na rok 1903, prace pierwszorzędnych autorów polskich. Jedną z najbliższych nowości na tem polu będzie dla dziennika naszego napisany utwór p. t.:

„Wilczy bilet".

Rzecz osnuta na tle stosunków szkolnych w Królestwie Polskiem, — przez *B. A. Jer.* (Pseudonim).

Nowi prenumeratorzy

otrzymają bezpłatnie początek drukującej się obecnie w naszym feletonie, powszechne zajęcie budzącej, powieści *Józefa Glady* p. t.:

„Sergiusz Wasilewicz Gardow",

a nadto początek, wychodzącej w tygodniowym dodatku, rozgłośnej powieści *Bolesławity* p. t.:

„My i oni".

Wszyscy prenumeratorzy „Nowej Reformy" nabywać mogą **po znacznie zniżonych cenach** czasopisma:

„Wędrowiec"

znany, ilustrowany tygodnik literacki, wychodzący w Warszawie. Cena w Krakowie **19 K** (zamiast 24 K), z przesyłką pocztową **20 K** (zamiast 25 K 50 h) rocznie. Prenumerować można także kwartalnie.

Prenumeratorzy „Wędrowca" nabywać mogą po zniżonych, wyłącznie dla nich, cenach wspaniałe wydawnictwo p. t. „Poeci polscy" z ilustracyami. Wychodzące obecnie **Dzieła Juliusza Słowackiego** w sześciu tomach kosztują 7 złr. 80 ct. (zamiast 15 złr. 60 ct.). Płaci się za tom I. i VI. jednorazowo 2 złr. 60 ct., za każdy tom następny 1 złr. 30 ct. Za przesyłkę pocztową 40 ct. od tomu. Wyszedł na razie tom I.

Nadto nabywać mogą prenumeratorzy „Nowej Reformy":

„Nowe Mody"

ilustrowany dwutygodnik lwowski po **2** korony **40** hal. kwartalnie;

„Śmigus"

lwowski dwutygodnik humorystyczny po **1** koronie **80** halerzy kwartalnie.

Na czasopisma te należy składać prenumeratę w administracyi „N. Reformy" **przed 1 stycznia 1903**. W razie przeciwnym administracya nie bierze odpowiedzialności za zwłokę w przesyłce pierwszych numerów.

Nasze życzenia.

Kraków, 24 grudnia.

Pod znakiem Wrześni łamaliśmy się, roku zeszłego, opłatkiem z czytelnikami naszego pisma. Minął rok nie mniej ciężkich, od zeszłorocznych, doświadczeń i weksacyj, brutalnych napaści, pastwienia się w imię siły przed prawem. A jeżeli od takich cierpień »bieleje włos« i oblicze ryje się fałdami troski o jutro narodowe, to hartuje się także charakter społeczeństwa, wydobywa się na jaw energia i wytrzymałość w działaniu.

Był czas, gdy Polska chwytała za oręż, aby przebić się przez falangę wrogów. Tego potrzeba było narodowi, aby obmył winy przodków, aby nie zgnuśniał w niewoli. Dzisiaj nie słychać o walkach orężnych, ale za to nieustająca toczy się walka na wytrzymałość dusz ludzkich, na hart woli i charakter narodu. I wir tej walki porywa coraz to większe i liczniejsze rzesze ludu polskiego, — i to jest pomyślnego jej końca zapowiedzią.

Żyjemy właściwie na stopie wojennej, — bo wojnę zewsząd naszej egzystencyi wypowiedziano. Wojna to jedyna w swoim rodzaju, nie mająca równej sobie w dziejach ludzkości. Naród, pozbawiony bytu politycznego, jest przedmiotem śmiertelnych ataków dla tego, że duchowo jest żywym, że żyje swoim językiem, swoją pieśnią, swoją literaturą i sztuką, swoją kulturą. Żyje dusza narodu w milionach ludu, chociaż jego ruchy polityczne skrępowano. Więc boją się, że duch rozerwać gotów pęta i stanąć przed trybunałem ludzkości i zawołać: jestem, żądam praw swoich, z któremi na świat przyszedłem.

Wielkie zadania porozbiorowej Polski w kierunku uświadomienia narodowego wielkich mas ludu, spełniać musimy wśród wyjątkowych okoliczności. Nie w spokoju, nie pod działaniem refleksyi, lecz pod grozą walki i wśród walki, dokonywać musimy dzieła, przekazanego nam przez przeszłość. Zaledwo w połowie wyszkolone kadry narodowe iść muszą w ogień na plac boju, stawiać czoło nacierającemu nieprzyjacielowi. Giną jedni, ich miejsce zajmują drudzy, w męską odwagę uzbrojeni, w rzemiośle narodowem wyszkoleni.

Czy nie braknie nam tych kadrów? To wielkie pytanie, od którego przyszłość narodu zależy, to pytanie, na które odpowiedź o tyle ułatwiona, że ogół społeczeństwa zrozumiał wreszcie jego treść i doniosłość.

Więc gdy dzisiaj w ubogiej chatce wieśniaczej, w izdebce robotnika i w dworkach szlacheckich, na odgłos pieśni »Bóg się rodzi — moc truchleje« — żywiej uderzą serca i miłością ku bliźniemu zapłoną, — niechże dzisiaj ta miłość ogarnie wszystkich synów tej biednej Polski i wspólnym objęmie ich uściskiem. Bo wtedy dopiero o przyszłość Polski spokojnie jedni kłaść się będą do grobów, a drudzy rwać się zaczną do życia i narodowej pracy, gdy hasło równości i braterstwa stanów przestanie być frazesem i liczmanem, a przejdzie w czyny, w życie, we wszystkie jego objawy. Ludu wiejskiego i robotniczego nie pozyskamy nigdy na prawdę dla idei narodowej, dopóki nie damy im równej z innemi stanami oświaty i równych praw w życiu publicznem.

Oto stoją hufce tego ludu, jeszcze żywe, jeszcze gotowe opowiedzieć się przy majestacie narodu. Ale trzeba, żądając od nich ofiar, wysyłając je w ogień nieprzyjacielski, dać im tę absolutną pewność, że nadstawiają piersi za swoje prawa, że mają walczyć w obronie swojego narodu.

Kto kocha Ojczyznę, ten kochać powinien wszystkich jej synów nie od święta, ale w praktyce życiowej odmierzając im prawa równą ze sobą miarką. Oby to święto Chrystusowych Narodzin zrodziło w duszach i sercach polskich tak pojętą miłość ku wszystkim synom narodu, — a wtedy mówić będziemy także mogli o naszem odrodzeniu narodowem.

Z tem życzeniem spieszymy dzisiaj do naszych czytelników.

Rozdwojenie na Górnym Śląsku.

(Koresp. »Nowej Reformy«.)

Z pod Gliwic, 23 grudnia.

Niestety, nie obędzie się u nas przy wyborach przyszłorocznych bez rozdwojenia w obozie polskim. Dotychczas jeszcze, nietylko u nas, ale i w Poznaniu, pocieszano się nadzieją, że „Katolik" zaniecha dalszego oporu przeciwko samodzielnej politycznej akcyi narodowej, zainaugurowanej przez nowopowstałe „Towarzystwo wyborcze", zwłaszcza gdy to Towarzystwo na obu ostatnich wiecach bytomskich, zarówno na własnym jak i na „Katolikowym", dało dowód, iż posiada zaufanie i poparcie w masach. Tymczasem inaczej się stało, jak się zdaje właśnie wskutek zajść na tym zwołanym przez „Katolika" wiecu. Zaniepokojony widocznie sukcesami „Towarzystwa" — organ ten wystąpił wprawdzie z dotychczasowej swej rezerwy, lecz we wręcz niepożądanym kierunku. O ile bowiem dotychczas zwalczał „Towarzystwo" i akcyę jego zupełną biernością, to teraz przeszedł do ofensywy i otwarcie przeciwko niemu wystąpił. Wznawiając przytem wszystkie swe niefortunne i bezpodstawne „argumenty" i frazesy z przeszłorocznej swej odezwy, dowiódł, że w tym dobiegającym końca roku niczego się nie nauczył z tego, co się w koło niego dzieje.

Rozwodzi się tedy w ostatnim swym numerze raz jeszcze obszernie, że Ślązacy nie powinni zrywać z centrum, lecz wybierać dalej posłów do tego niemieckiego stronnictwa. A dlaczego? Dla tego, że wybierali posłów do stronnictwa tego od lat 30 aż do dzisiaj, że niedobrze dla ludu, gdy idzie przeciwko duchowieństwu, a duchowieństwo jest za centrum, że obecny ustrój i statut Koła polskiego nie odpowiada intencyom oraz interesom polskiego ludu na Śląsku, że Koło to i nadal pozostanie takiem, jakiem jest, że dla Ślązaków statutu swego nie zmieni, podczas gdy centrum jeszcze poprawić się może i zamienić się na „partyę ludową" — przedewszystkiem zaś dla tego — że „kierownik „Katolika" (p. Adam Napieralski) zerwania z centrum sobie nie życzy.

Tak jest, ostatni argument jest atutem wśród innych. Nie mam zwyczaju, i nigdy też nikogo bez powodu nie posądzam o względy osobiste, prywatne w sprawach publicznych, zwłaszcza ludzi, skąd inąd zasłużonych. W tym wypadku jednakże muszę to uczynić, gdyż kierownik „Katolika" sam to ogółowi podsuwa. Pisze bowiem sam o sobie wyraźnie: „Kierownik „Katolika" nie godzi się na zerwanie z centrum, więc zacznie się wkrótce porozumiewać z komitetami centrowemi w sprawie wyborów". Dyktatura jednostek na Śląsku miała tak długo racyę bytu, dopóki brakło tam polskiej inteligencyi oraz wszelkiej z wyboru powstałej władzy narodowo-wyborczej. Dziś atoli, gdy inteligencyi jest już zastęp dość znaczny, gdy z łona tej inteligencyi oraz z łona ludu zorganizował się zawiązek takiej władzy, gdy na dwóch zebraniach zyskał aprobatę szerokich kół, przedewszystkiem zaś z tego powodu, że zawiązek ten składa się z ludzi zacnych, znających stosunki, dobrze pojmujących narodowy swój obowiązek, władza koniecznie z rąk jednostek nań przejść powinna. Tego atoli kierownik „Katolika" uznać nie chce, bo widocznie nie chce rozstać się z władzą, jaką miał dotychczas.

Zarzutu tego nie można mu oszczędzić. Wszelkie inne argumenty jego prócz tego odwołania się na własną wolę — żadnej nie wytrzymują krytyki, obliczone są przytem jedynie na ciemnotę i niedoświadczenie polityczne prostaków. Cóż np. powiedzieć o tem, że Śląsk dlatego powinien nadal wybierać posłów do centrum, ponieważ wybierał ich od lat 30? W takim razie przecież, powinien wybierać ich wiecznie, bo im tradycya będzie dłuższa, tem bardziej zdaniem „Katolika", obowiązywać winna. Pisze dalej „Katolik", że Koło polskie nie odpowiada intencyom oraz interesom Śląska i Ślązaków, że się prawdopodobnie nie zmieni, ale że zmienić się może łatwo centrum. Czemże jest centrum? Otóż tylko „zgromadzeniem posłów"; takiem tedy będzie, jakimi będą posłowie. Jeżli więc Ślązacy wybiorą do centrum dobrych posłów, według swej myśli, to centrum także będzie dobre, według ich myśli. Twierdzenie takie byłoby nonsensem, gdyby nie mieściła się w niem spekulacya na nieświadomość czytelników. Pisząc to, „Katolik" przedstawia rzeczy tak, jakoby to centrum składało się wyłącznie z posłów śląskich, nie wspomina zaś ani słówkiem, że jestto zgromadzenie 100 posłów rdzennie niemieckich, wśród których 6 czy 7 posłów ze Śląska polskiego stanowi kroplę w morzu. Chociażby więc polscy Ślązacy wybrali tych 7 posłów „według swej myśli", to ta garstka chyba nigdy nie zdoła zmienić całego centrum i to centrum będzie zawsze stronnictwem nawskroś niemieckiem i jak dotąd przeciwnem rozwojowi narodowemu na Śląsku. Gdzież tu zresztą logika? A więc 7 śląskich posłów zdaniem „Katolika" nie zdoła zmienić ustroju i polityki Koła polskiego, liczącego członków 14, z których nadto i dziś już kilku stoi zupełnie na stanowisku demokracyi śląskiej, ale tych 7 posłów zdoła zmienić politykę — 100 posłów niemieckich. Jestto wprost absurdem, na którem większość czytelników „Katolika", niestety się nie poznała.

Kierownik „Katolika" stara się wogóle przedstawić rzecz tak, jak gdyby wszystko rozchodziło się jedynie o kwestyę osób, o to, jakich posłów lud wybierze przy przyszłych wyborach, a nie o to, do którego wstąpią stronnictwa. I tak w ostatnim numerze żąda naiwnie od „Tow. wyborczego", aby mu wykazało, o ile Koło polskie jest lepsze od stronnictwa centrum? W pytaniu tem mieści się zupełna negacya zasady solidarnosci narodowej. Chodzi tu przecież nie o to, które „stronnictwo" jest lepszem co do ekonomicznej i socyalnej swej tendencyi, albo co do statutu swego, lecz wyłącznie o jego narodowość. „Koło polskie" więc już z tej przyczyny jest „lepsze", że jest polskie, że reprezentuje naród polski wobec Prusaków i wszystkie te ideały i prawa, które są świętością dla Polaków. Śląsk odrodził się chyba nie na to pod względem narodowym, ażeby dalej był pognojem dla Niemców choćby katolików, lecz by wymocnił milionem swym Macierz-Ojczyznę polską. I tego „Katolik" nie rozumie!

„Katolik" więc nadal paktować będzie z centrum, nadal mu zaprzedawać głosy polskiego ludu. Będzie więc rozdwojenie, które w niwecz obrócić może całą akcyę narodową. Około „Katolika" skupiają się bowiem żywioły najmniej jeszcze uświadomione, które wierzą pismu swemu na ślepo. Tylko instynkt narodowy ocalić tu jeszcze może sprawę.

Sąd o tem rozumowaniu i postępowaniu „Katolika", pozodstawiam czytelnikom „Nowej Reformy". Dodam tu tylko, że „Katolik" ma sprzymierzeńców w konserwatycznej połowie Koła polskiego i w... „Dzienniku Poznańskim". W organie tym świeżo, jakby za zmową, oświadcza jeden z posłów poznańskich, że Koło dla kilku posłów śląskich statutu swego i polityki nie zmieni, że, co najwyżej, przyjąć ich może jako — hospitantów — bez równych praw...

Rzeczywiście wstydem rumieni się czoło, gdy się to czyta. Jakże upokarzającą, ubliżującą dla nas jest ta trwoga decydujących dziś jeszcze w Poznańskiem żywiołów przed zerwaniem z centrum! Zdawać by się mogło, że my tu w zaborze pruskim stoimy i trzymamy się tylko z łaski tego stronnictwa niemieckiego, że gdy ono odwróci się od nas, upadniemy. Wynika z tego jasno, że konserwatyści nasi zawsze jeszcze nie wierzą w żywotne siły narodu, że jedynie w płaszczeniu się przed obcymi widząc ratunek dla niego. Jak to demoralizująco oddziaływa na ogół, tego wam, w Galicyi tłomaczyć nie potrzebuję, bo sami to wiecie dobrze.

Z.

Idylla w więzieniu.

Teresa Humbert, jej córka Ewa, tudzież siostra Marya Daurignac, znajdują się w madryckiem więzieniu dla kobiet, gdzie im się wcale dobrze dzieje. Mają — jak powiada wyraźnie telegram — obszerny „salon" i dwa pokoje; doborową bibliotekę dla rozpędzania nudów; przełożona zakonnic, zajętych gospodarstwem we więzieniu, odwiedza je bardzo często, a zakonnice żarządzające kuchnią, dają im wyborne jedzenie. Teresa Humbert, poza chwilowem, udanem może osłabieniu, wygląda dobrze i nie traci kontenansu; córka jej Ewa płacze co chwila, Marya Daurignac zachowuje się jak zwykle, biernie, wszystkie jednakże mają dobry apetyt. Teresa Humbert i Ewa modlą się często i długo.

Ewa Humbert wobec przełożonej zakonnic wyraziła przekonanie, że madryckie więzienia są bez porównania lepiej urządzone niż paryskie. „Znam paryskie więzienia stąd, że je zwiedzałam jako delegatka towarzystw dobroczynnych" — dodała Ewa Humbert. Matka jej również wyraziła się kilka razy z „uznaniem" o więzieniu madryckiem. Dla dokładności zaznaczamy, że co do wiktu podają telegramy drugą wersyę, a mianowicie, że wszyscy uwięzieni otrzymują pożywienie z pierwszorzędnej restauracyi na koszt ambasady francuskiej.

Mężczyźni, to jest Fryderyk Humbert, mąż Teresy, tudzież Roman i Emil Daurignacowie, jej bracia, znajdują się we więzieniu celkowem. Fryderyk Humbert oświadczył wobec jednego z dziennikarzy: „Udowodnimy, że wszystkie nasze operacye były legalnemi. Jestem pewny, że zostaniemy uwolnieni od winy, padliśmy bowiem ofiarą wysoko postawionych rzezimieszków. Uciekliśmy, rząd bowiem chciał zawładnąć naszym majątkiem". Humbert, dorosłe dziecko, mówił, jak się zdaje, w dobrej wierze. Roman Daurignac wobec reporterów dowcipkuje cynicznie i odgraża się, że podczas procesu oświetli we właściwy sposób rolę gabinetu Waldecka-Rousseau. Również rzucał pogróżki przeciwko ministrowi sprawiedliwości Vallému, przeciwko byłemu prezydentowi gabinetu Dupuy'emu, przeciwko redaktorom dzienników „Matin" i „Petit Parisien" tudzież innym osobistościom. Skutkiem ciągłych odwiedzin, które powtarzały się we więzieniu, wydał hiszpański minister sprawiedliwości na życzenie konsula francuskiego rozporządzenie, ażeby nadal nie dawano nikomu pozwolenia na odwiedzanie więźniów.

Ambasador francuski Patenôtre przybył z Madrytu do Paryża i zaraz oczywiście został osaczony przez armię reporterów. Ambasador oświadczył z całą stanowczością, że ci, którzy

---

Józef Glada.

Sergiusz Wasilewicz Gardow.

78 **Powieść współczesna.**

Wielońska, zakrywszy oczy chustką, usiadła na ławce, a głuche łkania wstrząsały nią całą.

— Zaraz przyjdzie syn... czy pani chce, czy może go widzieć? — spytał oficer.

Siłą woli wstrzymała łzy, tylko przez zaciśnięte usta dobywały się przytłumione łkania. Stanęła znów u kraty.

Wszedł Ignaś z uśmiechem na przybladłej twarzy, a wysłuchawszy ostrzeżenia oficera, zawołał:

— I mama jeszcze tutaj, sądziłem, że w domu... mama płacze, cóż łzy pomogą?

— Ignasiu zdrów jesteś? nie chorowałeś? masz wikt dobry? sypiasz po nocach? nie masz zawrotów głowy? używasz kiedy ruchu?

— Ależ mamo, niech mama spojrzy na mnie — uśmiechnął się — zdrów jestem, stałem się tęższy moralnie i fizycznie, nic mi nie brakuje, chwilami brak mi towarzyszy, kolegów, ale wówczas zasypiam i śnię o nich.

— A wikt jaki? Są pieniądze w kancelaryi więziennej, nie żałuj sobie.

— Dziękuję mamie, i tutejszy wikt jest niezły, już zaczynam się przyzwyczajać.

— Proś o książki, może dostaniesz szkolne, przygotuj się, być może, że zdasz egzamin prywatnie.

— Dobrze mamo, wątpię jednak, czy tu mają podręczniki gimnazyalne, to zbyt niewinne i prawomyślne książki — zaśmiał się swobodnie.

— Moje dziecko, gdybyś zachorował, poproś zaraz doktora więziennego.

— Ach, nic mi nie będzie, jestem zdrowszy aniżeli na wolności, to już w krwi polskiej — uśmiechnął się.

Zbliżył się oficer.

— Pani zechce pożegnać syna.

— Do widzenia Ignasiu.

— Całuję rączki mamy.

— Do widzenia!

Oficer skłonił się i rzekł:

— Wizyta skończona.

XVIII.

Gardow, opowiedziawszy kolegom treść telegramu generała, zamilczał naturalnie o zachowaniu się pułkownika i oficerów względem niego, jakkolwiek ono dotknęło w przykry sposób jego próżność.

Oficerowie, a w szczególności pułkownik, były to jednak w jego oczach za wysokie osobistości, aby się mógł pokusić o zemstę, rozumował wszakże, iż cały skład sądu zachowywałby się względem niego inaczej i o wiele przyjaźniej, gdyby nie owe zeznania oskarżonych.

Oni to, przytaczając uboczne sprawy, nie należące wcale do procesu, wystawili go na śmieszność i wzbudzili lekceważenie oficerów.

Nienawiść jego do Polaków, a w szczególności do oskarżonych, wzrosła bardzo znacznie i prawdziwe zadowolenie sprawiała mu myśl, że za jego przyczynieniem oni będą cierpieli dłużej i zostaną srożej ukarani.

Obmyśliwszy dokładnie, co i jak ma powiedzieć gubernatorowi, przyszedł do biura i zawiadomił naczelnika, iż chciałby złożyć raport w sprawie sądu.

Naczelnik, wróciwszy od gubernatora, oznajmił mu w tonie służbowym, że Jego Ekscelencya jest zajęty, a o wyniku sądu już wie.

Zdziwiło to niemile Gardowa i z niepokojem oczekiwał wezwania do biura dygnitarza.

Minęła jedna i druga godzina, rozkazu do stawienia się nie było, tylko naczelnik przyszedł raz do stołu Gardowa, a kładąc papiery na stole, rzekł z miną zwierzchnika:

— W czasie nieobecności pana dużo spraw zaległo, niektóre są terminowe, należy je szybko załatwić i wynagrodzić pospiechem czas stracony.

Mina i ton naczelnika, od których odwykł w czasie procesu, zastanowiły Gardowa i nasunęły mu przykre myśli o stałości łaski gubernatora, której tak ufał i na niej budował plany szczęśliwej i bogatej przyszłości.

Gdy po godzinach urzędowych wyszedł ze swymi kolegami, odezwał się drwiącym tonem Didkowskij:

— Cóż, Sergiuszu Wasilewiczu, długo cieszyłeś się łaską?

— Nie rozumiem jednak, co się stało?

— Stałeś się po prostu niepotrzebnym i poszedłeś w kąt — zaśmiał się.

— Niechby i tak było, ale dlaczego nie chciał wysłuchać mego raportu?

— Nie wiem — uśmiechnął się drwiąco.

— Może istotnie był bardzo zajęty i jutro przyjmie? Co myślisz, Nikandrze Aleksiejewiczu?

— Może.

Po chwili milczenia odezwał się Gardow:

— Wstąp ze mną do restauracyi, nudno samemu siedzieć.

— Dziś nie mogę — i pożegnał się.

Gardow rozmyślał z goryczą, że nawet przyjaciele już go opuszczają, gdy spadła na niego niełaska gubernatora.

Wypiwszy jednak kilka kieliszków, nabrał fantazyi i przekonania, że jutro z wszelką pewnością zostanie zawołany do złożenia raportu.

Minął jeden, drugi i trzeci dzień nadaremnego wyczekiwania, tylko naczelnik z miną niezadowoloną zrobił mu uwagę, że zbyt długo zwleka z pilną robotą.

Po tygodniu od czasu odczytania wyroku Wielońskiej, Gardow zrzekł się nadziei zdania raportu w sprawie sądu i spokojnie rozpoczął dawny tryb życia.

Niespodziewanie dziesiątego dnia naczelnik, wracając z biura dygnitarza, rzekł:

— Panie Gardow, Jego Ekscelencya pan gubernator woła.

Gardow doznał tak silnego wrażenia, że nie odpowiedział ani słowa i nie ruszył się z miejsca.

— Słyszy pan?... Ekscelencya woła! — powtórzył naczelnik.

Wezwany zerwał się z krzesła, obciągnął i zapiął mundur, spojrzał na kolegów milczących i szybko wyszedł, odpowiedziawszy:

— Słucham pana naczelnika.

W gabinecie stanął pokornie i czekał pytania Ekscelencyi siedzącego przy biurku, zmieszany, niespokojny, nie mogąc domyśleć się przyczyny zawezwania niespodziewanego.

Gubernator wytrzymawszy go tak kilka minut, zwrócił ku niemu swą grubą twarz, spojrzał się surowo, i rzekł tonem niezadowolenia:

— Swego czasu pochwaliłem i nagrodziłem gorliwość pana w sprawie Bartnicki-Wielońska, pan jednak zawiodłeś moje zaufanie...

Gardow jęknął i skłonił się głęboko.

— Zachowanie się pana w sądzie naraziło pana na śmieszność, a moją kancelaryę na wstyd... Urzędnik z mego biura nie powinien być śmieszny, i jeśli wnosi oskarżenie, musi się ono opierać na faktach... W tym wypadku były tylko silne podejrzenia zbrodniczej propagandy. Sąd skazał ich sprawiedliwie, a i to wiem także, iż sąd warszawski nie będzie mógł inaczej postąpić, jak zatwierdzić wyrok tutejszy... Ze względu, że sprawę tę poruszył urzędnik mojej kancelaryi, odłożono śledztwo na miesiąc, i w ciągu tego czasu musi pan w miejsce podejrzeń, dostarczyć faktów. Dziś mamy 12 grudnia, do dnia 12 stycznia czekam... — A nie dostarczy pan nowych faktów, to urzędnik skompromitowany byłby ciężarem w mojem biurze... Proszę to pamiętać.

Odwrócił się na znak skończonej rozmowy.

Gardow ukłoniwszy się kilkakrotnie, zgnębiony i przerażony, instynktownie otworzył drzwi i wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

liczą na skandaliczną rozprawę sądową, zawiodą się. Do jednego z redaktorów dziennika „Gaulois“ rzekł Patenôtre: „Daję panu tę jedną radę: nie zagłębiaj się pan zanadto w tę sprawę. Nie znajdziesz w niej tych skandalów, których szukacie“. Ale rojalistyczny dziennikarz nie chciał przyznać ambasadorowi słuszności i odpowiedział: „A więc chcą wszystko zatuszować“. — „Ani mowy — odparł Patenôtre. — Nie przeczę, że kilka mniej wybitnych osobistości z kół sędziowskich skompromituje się, ale rząd republiki nic nie ucierpi na swojej powadze skutkiem rewelacyj Teresy Humbert“.

Co się tyczy gabinetu Combes'a to stanowisko jego po aresztowaniu Humbertów wzmocniło się. Wszelkie podejrzenia i domysły, uwłaczające nietylko powadze rządu, ale wprost uczciwości jego upadły obecnie. Żaden z kierujących dzisiaj mężów stanu nie utrzymywał żadnych stosunków z Humbertami. Edgar Combes, syn prezydenta gabinetu, oświadczył w „Petit Bleu“, że członkowie obecnego gabinetu nie znają nawet Humbertów.

Same zresztą stosunki towarzyskie z Humbertami za czasów ich świetności narzucały się wprost wybitniejszym osobistościom. Fryderyk Humbert, deputowany, syn byłego ministra, na mocy swojego stanowiska obracał się w kołach wybitnych osobistości, a żaden polityk, dziennikarz, czy urzędnik republikański nie miał powodu odrzucać zaproszenia do domu Humbertów. Obecność na wieczorach u Humbertów, udział w przedstawieniach amatorskich lub polowaniach na zające, to chyba są rzeczy, nie wystarczające jeszcze do kompromitacyi.

Pani Carnot, wdowa po prezydencie republiki, żyła w bliskich stosunkach z Teresą Humbert, a Feliks Faure i córka jego Łucya również należeli do jej bliższych znajomych. Prezydent Izby deputowanych Deschanel starał się o rękę Maryi Daurignac, wiedzą o tem wszyscy, ale przecież nikt nie wyciąga z tego uwłaczających dla niego wniosków. Kompromitacya grozi tym, którzy popierali oszustwa Teresy Humbert, choćby tylko z lekkomyślności, a raczej nieopatrzności, lub wprost naiwnej wiary w jej uczciwość. Groźby Teresy Humbert zwracają się nie przeciwko jej przyjaciołom, których łatwo możnaby do pewnego stopnia skompromitować lecz przeciwko jej wrogom, którzy chyba nie mieli z nią zbyt bliskich stosunków.

Zresztą i Teresa Humbert i Roman Daurignac, zapewniający dzisiaj, że mają w swoim kołczanie zatrute strzały, wkrótce będą mogli przed sądem popisywać się tą bronią. Już ta okoliczność, że teraz są tak strasznie gadatliwi, świadczy, że nie bardzo są pewni siebie. Idylla w madryckiem więzieniu prędko się skończy.

Dramaty na wyżynach.

Telegram oficyalny z Drezna doniósł dnia 22 b. m., że żona saskiego następcy tronu, Ludwika Antonina Marya, córka w. księcia Toskany, w nocy z 11 na 12 b. m. opuściła nagle Salcburg, gdzie chwilowo przebywała u swojego ojca, i zrywając wszelkie stosunki ze swoją bliższą i dalszą rodziną, udała się za granicę. Telegram ten dodaje zarazem, że następczyni tronu krok ten uczyniła w chorobliwym widocznie stanie duchowego rozdrażnienia.

Dnia 17 b. m. oficyalny dziennik „Dresdener Journal“ ogłosił, że ks. Ludwika Antonina zachorowała w Salcburgu i powróci do Drezna dopiero po upływie pewnego czasu. Gdy ogłoszenie to czytali mieszkańcy Drezna i Saksonii, ks. Ludwika już dawno opuściła Salcburg. Fakt trzymano w tajemnicy, sądząc zapewne, że będzie można fałszywy krok ks. Ludwiki naprawić, gdy się to okazało niemożliwem, przykrą prawdę musiano odsłonić wobec publiczności.

Sprawa ta wywołała oczywiście i w Dreznie i w Wiedniu ogromne wrażenie pośród ludności, ale koła, stojące bliżej dworu saskiego, nie bardzo się nią zdziwiły, już bowiem od dłuższego czasu nie było tajemnicą, że następca tronu saskiego, ks. Fryderyk August i żona jego Ludwika Antonina, skutkiem częstych zatargów utrzymywali z sobą stosunki wielce oziębłe i etykietalne. Małżeństwo saskiego następcy tronu z arcyksiężniczką austryacką uważano powszechnie za bardzo szczęśliwe i tak, jak się zdaje, było z początku. Później ks. Ludwika coraz to częściej wpadała w kolizye z mężem, z dworem saskim i całem tamtejszem śrdowiskiem, aż wreszcie przyszło do zupełnego zerwania, i to w sposób wielce niezwykły.

Wielką rolę w tym dramacie rodzinnym odgrywa nauczyciel języka francuskiego dla dzieci saskiego następcy tronu, profesor Giron. Dnia 2 b. m. Giron otrzymał nagle dymisyę; dnia 7 następca tronu powrócił z Salcburga do Drezna, a dnia 9 opuściła Drezno ks. Ludwika, która udała się do Salcburga, gdzie spotkała się z dymisyonowanym nauczycielem. Z Salcburga udali się oboje do Genewy.

Mniej doniosłe zatargi pomiędzy saskim następcą tronu a jego żoną powtarzały się już od dawna, w bieżącym atoli roku przybrały formę nad wyraz przykrą. I tak już podczas słabości króla saskiego w Sibyllenort powstała pomiędzy małżonkami gorsząca wprost scena. Brat ks. Ludwiki, arcyksiążę Leopold Ferdynand, który występował w obronie siostry, miał skutkiem tego w Salcburgu zajście z saskim następcą tronu, a swoim szwagrem, zajście, które skończyło się czynnem znieważeniem gościa saskiego przez arcyksięcia Leopolda Ferdynanda. Następca tronu saskiego powróciwszy do Drezna... znieważył żonę.

O początkach stosunku następczyni tronu saskiego ks. Ludwiki z nauczycielem jej dzieci, Gironem, nic oczywiście nie wiadomo. Giron, pochodzący z Szwajcaryi, liczy 24 lat życia, i ma być prawdziwym Apollinem. W monachijskich kołach dworskich opowiadają, że księżna bezowocnie prosiła swego ojca o pozwolenie na rozwód, na co się nie zgodzono ze względu na charakter katolicki dworów saskiego i austryackiego. Wskutek tego zdecydowała się księżna na ucieczkę z Gironem.

Wbrew faktom z urzędowej strony w Dreznie zaprzeczają, jakoby małżeństwo było nieszczęśliwe, twierdząc, że książę saski kochał swoją małżonkę i obchodził się z nią dobrze. Mimo to o jakimkolwiek zwrocie na lepsze mowy już niema. Jak donosi telegram z Drezna, wszystkie władze otrzymały zlecenie, ażeby pod żadnym warunkiem nie przepuściły następczyni tronu przez granice saskie. Zostaje ona z państwa wydaloną i nigdy nie może powrócić. Wczoraj rozwiązano jej dwór.

Pomiędzy dworem saskim i austryackim odbyły się w tej sprawie rokowania, które miały charakter objektywny. Cesarz austryacki i król saski są w tej kwestyi tegosamego zdania i stosunki obu dworów pozostaną niezmienione. W rokowaniach uznano ks. Ludwikę za cierpiącą na silną newralgię.

Tymczasem zbiegowie znajdują się z arcyksięciem Leopoldem Ferdynandem na ziemi szwajcarskiej. Wszyscy troje bawią w Genewie w hotelu Anglettere od ośmiu dni, nie przyjmując żadnej wizyty. Wczoraj miał ich odwiedzić pewien członek domu cesarskiego. Mają zamiar pozostania w Genewie jeszcze przez tydzień. Policya zaleciła prasie milczenie o tej sprawie.

W związku z dramatem ks. Ludwiki rozwinął się epizod jej brata, arcyksięcia Leopolda Ferdynanda, który ma być bardzo uzdolnionym, ale równocześnie i wielce ekscentrycznym. Powiadają, że arcyksiążę Leopold Ferdynand n. p. pod względem przekonań politycznych jest radykalnym aż do anarchizmu. — Jak donosi „Wiener Allgemeine Zeitung“, arcyksiążę Leopold Ferdynand wyjechał z panią Adamowics, którą już chciał poślubić w ubiegłym roku. W życiu arcyksięcia grała ważną rolę jego miłość do córki Don Carlosa, Donny Elwiry. Przed sześciu laty nastąpiły potajemne zaręczyny, ale małżeństwu stanęły na przeszkodzie ważne polityczne motywy. Następnie Donna Elwira uciekła z malarzem Folcbi i poślubiła go, za co została z rodziny wykluczoną. Arcyksiążę Leopold w myśl swego życzenia zostanie wykreślony z listy członków domu cesarskiego.

Korespondent dziennika „Zeit“ pisząc z Drezna o sprawie ks. Ludwiki, maluje charakter jej i usposobienia w barwach pochlebnych, zaznaczając, że ks. Ludwika, osoba żywego i wesołego temperamentu, nie mogła się oswoić z pobożną formalistyką dworu saskiego, z jego atmosferą pietystyczno-wojskową. Mąż jej poza wojskiem i jazdą konną niczem się nie interesuje żywiej, a król saski dawał się ks. Ludwice we znaki swoją surową krytyką jej sposobu życia.

W Salcburgu u rodziców swoich również żyła ks. Ludwika pod obuchem sztywnej etykiety i surowej cenzury. Nowe książki były tam zabronione i tylko Sienkiewicza „Quo vadis“ znalazło wyjątkowo łaskę u matki ks. Ludwiki. Kazała zakupić kilkaset egzemplarzy tego dzieła w niemieckiem tłomaczeniu i kazała je rozdawać.

Ks. Ludwikę unosił nieraz żywy jej temperament za daleko, np. gdy wbrew życzeniu króla saskiego jeździła na bicyklu w towarzystwie swego dentysty, ale reakcya przeciwko krępującym więzom tem bywa silniejszą, im ciaśniejsze są te więzy.

„Macierz szkolna“ dla Księstwa Cieszyńskiego.

W sali Domu Narodowego w Cieszynie odbyło się w niedzielę wielkie zgromadzenie członków „Macierzy szkolnej“ dla Księstwa Cieszyńskiego. Przybyło około 90 osób. Sekretarz ks. Londzin przedstawił sprawozdanie za rok ubiegły, które streszcza się w następujących punktach:

Towarzystwo „Macierzy“ utrzymuje dwa zakłady: gimnazyum i szkołę ludową. — Gimnazyum liczy obecnie 8 klas w dziewięciu oddziałach, 274 uczniów i 18 sił nauczycielskich. Zarząd wniósł już podanie do śląskiej Rady szkolnej o prawo publiczności i zarazem o pozwolenie na odbycie pierwszej matury ze świadectwami, mającemi znaczenie świadectw gimnazyów rządowych. Od września ma zakład przejść na koszt państwa, więc też rząd teraz zniżył subwencyę do 1600 koron. Dla pomieszczenia wszystkich klas w budynku gimnazyalnym chciano na nim wystawić trzecie piętro, lecz Rada miejska temu przeszkodziła, stawiając niemożliwe wymagania, więc też 2 klasy musiano przenieść do budynku szkoły ludowej.

Do szkoły ludowej uczęszcza 320 dzieci (5 oddziałów, 5 nauczycieli). Podanie o prawo publiczności, wniesione dawno, nie doczekało się dotąd załatwienia. — Koszta utrzymania obydwóch zakładów w r. 1901/2 wyniosły 92.820 kor. 52 hal., dochody zaś 77.311 kor. 49 hal., czyli o 15.509 kor. 3 hal. mniej i o tyle też zmniejszył się majątek „Macierzy“.

Majątek „Macierzy“ wynosił z dniem 15 września b. r. 161.792 kor. 81 h.; obecnie wynosi 154.823 kor. 97 h. Majątek ten nie jest jednak na zawołanie rozporządzalny, gdyż 82.598 kor. 86 h. ulokowanych jest w placu pod budowę i w budynku gimnazyalnym, a 30.000 kor. w akcyach banku ziemskiego w Poznaniu, których nie można łatwo spieniężyć. Nadto objęty tą sumą fundusz dra Hassewicza w kwocie 20.000 kor. nie może być naruszony, bo ma stanowić fundacyę stypendyalną.

W roku szkolnym 1902/3 utrzymanie gimnazyum kosztować będzie 63.000 koron, szkoły ludowej 19.500 kor., na zapomogi dla uczniów potrzeba 10.000 kor., na inne wydatki 4000 kor., razem więc 97.100 koron. Dotąd wpłynęło w roku administracyjnym 20.450 kor. 13 h., potrzeba zatem jeszcze około 77.000 koron, a po potrąceniu subwencyi rządowej jeszcze 61.000 koron. Tyle jeszcze musi zebrać „Macierz“, aby pokryć swoje wydatki.

Ofiarności więc potrzeba tem bardziej, że „Macierz“ nie kończy dzieła swego na tych dwóch zakładach. Przedsięwzięła ona bowiem usilne starania w celu założenia seminaryum nauczycielskiego, wniosła podanie o pozwolenie na otwarcie tego zakładu, przygotowawszy przedtem wszystko do tego należycie, lecz otwarcie jego zostało udaremnione przez zaciekły opór Niemców cieszyńskich, którzy się boją o los seminaryum niemieckiego, w którem jest zaledwie drobna liczba Niemców. To samo, co z seminaryum, dzieje się także z kursami uzupełniającemi dla dziewcząt, które „Macierz“ objęła pod swój kierunek. Podanie o ich zatwierdzenie, wniesione do Rady szkolnej jeszcze w lipcu, nie zostało dotąd załatwione.

Członków „Macierz“ ma 1086, między nimi 10 honorowych, 331 założycieli i 745 zwyczajnych. Wezwaniem do społeczeństwa polskiego o składki i gorącom podziękowaniem dla dobrodziejów takich jak mecenas Osuchowski i dr Bucewicz z Warszawy, a dr Hasewicz z Karlsbadu, sekretarz zakończył sprawozdanie z czynności wydziału.

Po przemówieniu ks. Londzina uchwalono zarządowi absolutoryum, poczem odbyły się wybory uzupełniające do Rady nadzorczej. Wybrani zostali: ks. Budny, proboszcz w Międzyrzeczu, ks. Karowski, proboszcz w Rudzicy, dr Jan Wieluch, dr Dybkowski i Franciszek Tomiczek z Cieszyna, Paweł Ryncorz z Kozakowic jako wydziałowi, nadto dr Danielak i ks. Tomanek, wikary z Cieszyna jako zastępcy.

Celem uregulowania nakładu

prosimy o

wczesne nadesłanie prenumeraty.

Wynosi ona:

W Krakowie **2** kor. miesięcznie, **24** kor. rocznie;

W Austro-Węgrzech **2** kor. **70** hal. miesięcznie, **32** kor. rocznie.

Bliższe szczegóły w nagłówku dziennika.

Administracya „Nowej Reformy“.

Kronika.

Kraków, 24 grudnia.

Przy opłatku, gdy w gronie rodziny czytelnicy i przyjaciele pisma naszego, składać będą sobie życzenia wigilijne, również i my stajemy do apelu. Codziennie przychodzimy do Was z radą, zachętą i podnietą; pochwałą i uznaniem; czasami z wymówką i naganą, ale z sercem zawsze szczerem. Znamy się już tak dawno, idziemy jedną drogą tak już długo, że dzisiaj w dniu wigilijnym byłoby z naszej strony uchybieniem, gdybyśmy do Was wszystkich, czytelnicy nasi, nie pospieszyli z życzeniami.

Każdy ugina się pod ciężarem obowiązków prywatnych i publicznych, a u nas w Polsce skutkiem wyjątkowych warunków bytu, obowiązki publiczne są cięższe, niż gdziekolwiek indziej. A że dzisiaj rodzina nie może od narodu oddzielić się i odosobnić w takim stopniu, jak dawniej, więc warunki naszego życia prywatnego, dzięki naszym wrogom, stały się wielce trudnemi.

Ale musimy obowiązkom naszym zadosyćuczynić, musimy trwać do końca i, da Bóg, wytrwamy.

Dzisiaj życzymy Wam wszystkim, czytelnicy, przyjaciele i korespondenci pisma naszego, ażeby siły Wasze wzrastały, ażeby nadzieja Was nigdy nie opuszczała, ażeby pewność zwycięstwa w przyszłości nie wygasła w sercach Waszych. Ciężaru Wam nie ujmiemy, ale starać się będziemy o pokrzepienie sił Waszych słowem zachęty w chwilach zwątpienia. Nie zrzucajcie z bark Waszych ciężaru, nie obawiajcie się trudu, rodzina rychło Wam pracę wynagrodzi, a kiedyś i Ojczyzna.

Następny numer „Nowej Reformy“, z powodu uroczystych świąt Bożego Narodzenia, wyjdzie dopiero w sobotę 27 b. m. o zwyczajnej porze.

„Na Gwiazdkę“. Dodatek literacki do numeru 296 „Nowej Reformy“, który dołączamy dzisiaj dla wszystkich prenumeratorów zawiera następujące artykuły: „Bóg się rodzi“ przez Edmunda Zechentera, „Gwiazdka“ wiersz Or-Ota, „Bal w wigilię“ (wspomnienie z niedawnych dziejów) przez Jana Swierka, „Trzynastka“ obrazek przez Henryka Jossego, „Teatr współczesny“ przez Bertolda Merwina, „Domowa Suknia“ przez Gabryelę Zapolską, „Ostatnie dwudziestolecie literatury“ (recenzya książki Wilhelma Feldmana) przez Władysława Prokeschа, „Nowe poezye Kasprowicza“ przez (==).

Opłatek w „Sokole“ krakowskim mniej wczoraj wieczór zgromadził uczestników, niż po inne lata. A szkoda, bo wilia „Sokoła“ odznacza się zawsze wielką serdecznością i towarzyskiem ciepłem. Niemiłą, a dla „Sokoła“ niezasłużoną niespodzianką była nieobecność członków „Przytuliska“ weteranów z r. 1863. Wydział zaprosił „Przytulisko“ jak po inne lata, przesyłając zaproszenie na ręce prezesa „Przytuliska“, p. Kułakowskiego. Tymczasem w „Przytulisku“ nic o tem zaproszeniu nie wiedziano. Dzięki temu stół, przeznaczony dla weteranów ostatniej walki orężnej, świecił pustką i zwracał powszechną uwagę.

Piękną, podniosłą przemową zagaił uroczystość wigilijną kapelan „Sokoła“ krakowskiego, ks. Anioł, Kapucyn, poczem prezes Turski łamał się opłatkiem z uczestnikami. Przy stołach zabrali miejsca: radcy miejscy, posłowie dr Jaworski, Federowicz, Wojtyga, Rotter i Petelenz, grono pań, Sokoli miejscowi i z gniazd sąsiednich. Kapela sokola przygrywała pod batutą druha Urygi, a chór sokoli urozmaicał zebranie pięknie śpiewanemi pieśniami.

Po pierwszych daniach wniósł redaktor Konopiński pierwszy toast na cześć reprezentacyi miasta Krakowa podnosząc, że zrozumiała ona od pierwszej chwili doniosłość „Sokoła“ i użyczała mu zawsze poparcia. Druh dr Rowiński w pięknem przemówieniu pił na cześć posłów, dr Balicki podniósł zadania prasy polskiej i pił na jej cześć w ręce obecnych jej przedstawicieli, poseł Rotter podniósł patryotyzm duchowieństwa polskiego i pił na jego cześć, dr Wojciechowski zaznaczywszy zasługi Polek w życiu narodowem wniósł toast na ich cześć w ręce uczestniczek wilii, poseł dr W. Jaworski rozwinął pogląd na zadania bieżącej doby i pił za zdrowie sokolstwa polskiego w ręce prezesa Turskiego, dyrektor Dąbrowski w wymownych słowach podniósł zasługi uczestników ostatnich walk narodowych i na ich cześć wniósł toast, na który odpowiadał, wspomnieniem wypadków z r. 1863, druh Piasecki.

Szereg toastów zakończył prezes Turski tradycyjnem „Kochajmy się“ — poczem, przy dźwiękach kolędy ruszono od stołu, aby podziwiać pięknie oświetlone i darami przybrane drzewko. Panie zajęły się rozdawaniem losów, które w krótkim czasie ogołociły drzewko.

Ożywiona rozmowa i zabawa towarzyska skończyła się już po północy.

Zima po kilku dniach łagodnej temperatury, a przedtem odwilży, powróciła znowu dzisiaj i obdarzyła nas mrozem, który o godzinie 8 zrana dochodził do 10° C. W południe temperatura podniosła się, termometr bowiem wskazywał tylko 5° C poniżej 0. Jedni twierdzili, dążąc na śledzia wigilijnego, że będzie odwilż po południu, drudzy przeciwnie utrzymywali, że mróz ku wieczorowi powiększy się. Stawały nawet zakłady na tle meteorologii.

† Józef Bielak, obywatel miasta Krakowa i kupiec, właściciel handlu żelaznego pod firmą J. Górecki, zmarł wczoraj, przeżywszy lat 59. Pogrzeb odbędzie się w piątek dnia 26 b. m. o godzinie 3 po południu z domu l. 5 przy ulicy Szpitalnej. Zmarły znany był szerokim kołom naszego miasta z działalności obywatelskiej i jako kierownik wzorowo prowadzonej firmy kupieckiej. Należał do kongregacyi kupieckiej, której był czynnym i zasłużonym członkiem. Cześć pamięci zasłużonego obywatela.

Z Chóru akademickiego. Na walnem zgromadzeniu członków „Chóru akademickiego“ w dniu 3 b. m. w skład nowego wydziału zostali wybrani: Jako prezes Tadeusz Łakociński słuchacz medyc., wiceprezes Adam Kazimierz Kaznowski sł. filozof., sekretarz Franciszek Długopolski sł. praw, wicesekretarz Zygmunt Wodecki sł. praw, skarbnik Józef Kajetan Chlipalski sł. praw, wiceskarbnik Jan Gadomski sł. praw, bibliotekarz Kazimierz Niżyński słuch. praw, wicebibliotekarz Piotr Kosiński sł. fil. Do komisyi szkontrującej: Jan Zięba sł. fil., Józef Bielecki sł. fil.

Z uniwersytetu ludowego. W programie wykładów na grudzień zaszły pewne zmiany. Zapowiedzianych wykładów p. Włodzimierza Jarosza p. t. „Historya reformacyi“ w grudniu nie będzie. Zostały one odłożone z powodu choroby prelegenta na luty. Wykład zaś p. dra Ludwika Brunera p. t. „O węglu — zarys chemii ogólnej i organicznej“ zapowiedziany na niedzielę dnia 28 o godzinie 7½ do 8½ wiecz., odbędzie się tegosamego dnia o godzinie 5 do 6 po południu. Oprócz zaś ogłoszonych w programie wykładów, odbędzie się w poniedziałek 29 b. m. wykład p. dra Brunera pod wyżej przytoczonym tytułem, zamiast wykładu p. Włodzimierza Jarosza. W piątek 26 b. m. żadnego wykładu nie będzie.

W szkole Sztuk pięknych i przemysłu artystycznego dla kobiet, rozpoczyna się z dniem 2 stycznia obok nauki rysunków malarstwa i sztuki stosowanej, nauka rzeźby zastosowanej do bižuteryi i ceramiki.

Zarząd Szkoły — celem wytworzenia współzawodnictwa w studyowaniu zdobnictwa, postanowił w ciągu roku szkolnego urządzić szereg konkursów; z tych pierwszy na projekt kilimka (nagroda 40 koron) i na inicyał dowolnej polskiej litery (nagroda 10 koron). Termin do 10 stycznia. Następny konkurs na projekt sukni balowej.

Zapisywać się można do szkoły codziennie od godz. 2—4 popołudniu ul. Podwale l. 3. Opłata szkolna wynosi za cały dzień miesięcznie koron 30, za pół dnia kor. 20. Nauka trwa od godz. 9 rano do 12, od 2—4 i od 5—7 wieczór.

Przedstawienie jubileuszowe. W sobotę dnia 27 teatr krakowski uczci jubileuszowem i benefisowem przedstawieniem jednego z najstarszych artystów scen polskich, p Juliusza Jejdego, który pracując dla sceny narodowej lat 40, lwią część lat z tego przepędził na scenie krakowskiej. Na jubileuszowe to przedstawienie artysta wybrał głośną niegdyś i popularną sztukę ze śpiewami Araga i Vermonda „Pamiętniki Szatana“, w której p. Jejde jeszcze na scenie warszawskiej święcił prawdziwe tryumfy. Sobotnie przedstawienie powinno się zmienić w jednogłośną i szczerą owacyę dla utalentowanego artysty.

Wieczory operowe i operetkowe. W sali teatru ludowego przy ulicy Krowoderskiej l. 31 odbędą się w dniach 25 i 26 b. m. przedstawienia reprodukcyj najsławniejszych kompozytorów oper polskich i obcych, kwartetów wokalnych i utworów orkiestralnych. Czysty dochód z pierwszego wieczoru na cel gimnazyum polskiego w Cieszynie. Początek o godz. 5 po południu. Bilety wstępu przy kasie teatru ludowego od godziny 3 po południu.

Z kongregacyi kupieckiej otrzymujemy następujące pismo z prośbą o zamieszczenie: „Uprasza się wszystkich Pp. kupców na prowincyi, którym z braku adresów zaproszenia na zebranie kupieckie w dniu 28 grudnia br. w sprawie projektowanej ustawy przeciw opilstwu — dotąd nie przesłano, aby niezwłocznie zgłosić się zechcieli po karty uczestnictwa — pod adresem: P. Leon Schiller radca kongr. kupiec. Kraków ul. Wiślna 10“.

Dar na Ochronkę. Na ręce starosty podgórskiego p. Starzeńskiego złożył p. Erazm Jerzmanowski kwotę 200 K na ochronkę dla ubogich dzieci w m. Podgórzu.

Krakowski teatr ludowy — jak nam z Przemyśla donoszą — święci tam prawdziwe tryumfy. W sobotę odegrano „Warszawiankę“ Wyspiańskiego z dyrektorem Knake-Zawadzkim. Trupa p. Zawadzkiego od 13 listopada występowała w Bochni, Wieliczce, Tarnowie, Rzeszowie, Jarosławiu, Przemyślu, Samborze, Drohobyczu, Stryju i obecnie bawi powrotnie w Przemyślu.

Tem tournée p. Zawadzki wywiązuje się z włożonego przez Wydział krajowy obowiązku i publiczności prowincyonalnej rzetelnie i dobrze służy. Prasa prowincyonalna bez wyjątku w wyrazach pełnych uznania podnosi działalność teatru tego na prowincyi i jego ideowy, szlachetny repertoar. — Oprócz „Warszawianki“ wystawił p. Zawadzki „Kościuszkę“, „Uriela Acostę“, „Dramat lepianki“, „Zagrodę Sobkową“, „Dla świętej ziemi“, „Czartowską ławę“, „Emigracyę chłopską“, „Krakowiaków i górali“, „Karpackich górali“ i t. d.

Nadto podnieść należy z wielkiem uznaniem urządzanie przez p. Zawadzkiego przedstawień tak zw. groszowych. Przedstawienia te, dawane będą wyłącznie dla kształcącej się młodzieży i sprowadzały nieraz po 1.500 dzieci. Takie przedstawienia (grano zazwyczaj „Kościuszkę“) odbyły się w Rzeszowie i Przemyślu.

W Stow. kupców i młodzieży handl. w Krakowie odbędzie się zabawa taneczna dnia 31 b. m.

Urzędy pocztowe w święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok będą otwarte tylko w tych godzinach, w których zazwyczaj bywają otwarte w niedzielę. Prócz tego w niektórych urzędach pocztowych, jak: Kraków 3, 4, 5 i 6, Przemyśl 3, Tarnów 3 i Lwów — po południu urzędowania w święto Bożego Narodzenia i na Nowy Rok nie będzie. Listonosze w święta Bożego Narodzenia będą oddawali listy tylko przed południem.

Towarzystwo polskie i wieczór Mickiewicza w Sarajewie. Donoszą nam z Sarajewa:

Dzięki zabiegom wiceburmistrza tutejszego adwokata p dra Niećа, zawiązało się w Sarajewie w b. r. kółko polskie, jako ognisko, w którem zbierają się wszyscy rodacy, zapędzeni losem w te strony. Nastrój serdeczny, jaki panuje w zebraniach towarzystwa polskiego, ściąga i łączy ludzi, zajmujących różne stanowiska, starych i młodych, niby w jedno kółko rodzinne. Dzienniki i pisma polskie, biblioteka, gry i zabawy towarzyskie, miła pogadanka, wreszcie tańce nastręczają sposobność do rozrywek po pracy.

Dnia 20 bm. odbyła się po raz pierwszy w Bośnii uroczystość ku czci Adama Mickiewicza w lokalu towarzystwa przy niezwykle podniosłym nastroju, bardzo licznie zebranej tutejszej publiczności polskiej. Wielka sala, przystrojona w zieleń i kwiaty, wśród których widniał portret wieszcza, zapełniła się szczelnie po brzegi. Wieczorek zagaił dr Nieć słowem wstępnem, wypowiedzianem z właściwą temu mowcy oratorską swadą. Dr Wodyński oddeklamował następnie „Farysa“ z młodzieńczym zapałem, a niestrudzony dr Nieć „Koncert nad koncertami“ przy akompaniamencie swej córki. Spiewy, gra na skrzypcach i na fortepianie, wykonane z artyzmem, wypełniły resztę nader urozmaiconego programu. Powszechną uwagę zwróciła gra na fortepianie panny Siwiec i panny Hulles, oraz gra na skrzypcach młodego wirtuoza p. Wienera. Z uczuciem wykonany śpiew pani Mikuckiej, pani Van Roy, panny Bajewskiej i p. Bernolaka, zachwycił wszystkich. To też oklaskom rozentuzyazmowanej publiczności po każdej produkcyi nie było końca.

Nader silne wrażenie wywołał śpiew chóralny dziatwy polskiej, pod kierunkiem niestrudzonej i dla młodego pokolenia wielce zasłużonej pani Mikuckiej. Gdy z młodych piersi wydobywały się tony wspaniałego hymnu narodowego „Boże coś Polskę“, publiczność z uszanowaniem powstała i wtórowała młodym śpiewakom. W niejednem oku zabłysła łza rozrzewnienia i tęsknoty za krajem. Liczne telegramy, nadesłane z prowincyi, świadczyły wymownie, że rodacy, rozrzuceni po Bośnii, duchem żywy udział wzięli w tej podniosłej uroczystości.

Szczere i ogólne uznanie należy się pani Mikuckiej i p. dr Niećiowi za ich usilną pracę w interesie ogółu podjętą, oraz wszystkim osobom, które do bardzo starannego wykonania programu przyczynić się raczyły.

Żółkiew. Dnia 20 bm. obchodził „Sokół“ uroczystość swego 10-letniego istnienia odpowiednim wieczorem, na który przybyli druhowie z rodzinami. Wieczór uroczysty zagaił wiceprezes „Sokoła“, doktor Opieński. Następnie ćwiczenia druhów na przyrządach pod kierunkiem p. Janikowskiego, które dowiodły, iż ćwiczący się nabyli znacznej wprawy i rutyny w ruchach i biegłości w sztuce gimnastycznej.

Miły dla oka widok przedstawiała grupa panien ćwiczących, oraz dzieci płci obojga, żwawo gimnastykujących się, w czem znowu zasługa nauczycielki p. Chęcińskiej, której prezes „Sokoła“ wręczył bukiet. Po raz pierwszy na wieczorku tym wystąpiła publicznie, niedawno zorganizowana orkiestra „Sokoła“ i wystąpieniem onegdajszem do bry zrobiła początek.

Nowa stacya telegraficzna. Z dniem 1 stycznia 1903 r. otwartą zostanie w Płotyczy (powiat Tarnopol) przy istniejącym tamże urzędzie pocztowym stacya telegrafu z ograniczoną służbą dzienną.

Tarnów. Staraniem p. Ireny z Serdów Zbigniewiczowej, artystki-malarki, otwartą została w tych dniach gwiazdkowa wystawa prac artystów polskich w Tarnowie. Jest to jedna z pierwszych wystaw na prowincyi i zasługuje na wielkie poparcie publiczności, która nie zbyt często ma sposobność widzenia dzieł prawdziwie artystycznych. Widzimy tam wiele prac wybitnych artystów i artystek polskich, między innemi bardzo piękne szkice rysunkowe Matejki; oprócz tego kilka pięknych kopij ze sławnych mistrzów włoskich. Jest i mały dział sztuki stosowanej: teczki, ramki, pudełeczka malowane i inkrustowane oraz kartki korespondencyjne, bardzo artystycznie wykonane.

Wystawa ta, umieszczona w małym pawilonie przy placu Sobieskiego, przedstawia się bardzo ładnie i złożyć należy prawdziwe uznanie p. Zbigniewiczowej za trudy około jej urządzenia. Nie było to tak łatwem na prowincyi, a cel szlachetny zasługuje na wszelkie poparcie. Dochód z wstępów przeznaczonym jest na dom dla nieuleczalnych chorych, to też wątpić nie należy, że publiczność chętnie podąży na tę wystawę, która otwartą będzie do Nowego roku. *M. K.*

Proces o szpiegostwo — jak już donosiliśmy — rozpocznie się 17 stycznia przed trybunałem orzekającym w Przemyślu. Oskarżeni są: Antoni Alojzy 2 im. Burghardt, właściciel młyna i b. inspektor policyi miejskiej w Starym Samborze, Jan Lewkowicz kelner, Mendel Brück i Juda Leib 2 im. Fleischman przemysłowcy. Przeciw dwom ostatnim rozprawa toczyć się będzie także o zbrodnię oszustwa. Nadto odpowiadają wszyscy czterej za zbrodnię namowy żołnierza do naruszenia obowiązku służby wojskowej. Józefa Burghardtowa, żona Antoniego Burghardta odpowiada jako współwinna w zbrodni oszustwa. Pierwsi czterej oskarżeni pozostają w areszcie śledczym. Do rozprawy powołano 18 świadków. Akt oskarżenia obejmuje 31 stronic bitego pisma. Trybunałowi przewodniczyć będzie radca dr Mandybur. Bronią: Antoniego Burghardta adw. dr Liebermann, Jana Lewkowicza obr. w sprawach karnych Wacław W. Reger, Mendla Brücka i Fleischmana adw. dr Peiper.

Przemyśl. Onegdaj odbyło się walne zgromadzenie sekcyi przemyskiej gal. Towarzystwa lekarskiego, obejmującej powiaty polityczne jarosławski, przemyski, mościcki i dobromilski; przybyło 28 lekarzy. Prezesem wybrano fizyka miejskiego dra Smolarskiego, delegatem na zjazd walny lekarza okręgowego z Niżankowiec dra Ruczki.

Ze świata.

Znów ukazały się z druku dwie hakatystyczne broszury antipolskie, jedna Moassowa, druga Kietza. Obie zawierają wiele fałszów oraz najnędzniejszych inwektyw, ogólnie już znanych. Jeden może szczegół dotąd jeszcze w szerszych kołach był mniej znany, a mianowicie że zdaniem Moassowa nasz wielki Lelewel był właściwie Niemcem i nazywał się pierwotnie Lelhoeffel, — co dla rozweselenia naszej przygnębionej opinii chętnie tu podajemy.

Odznaczenie lekarza austryackiego. Akademia medyczna w Paryżu przyznała austryackiemu lekarzowi, Marmorkowi, kierownikowi laboratoryum

w tamtejszym instytucie Pasteura nagrodę Barbiera w kwocie 2.000 franków za prace w dziedzinie terapii surowicą.

W sprawie Kasy św. Wacława w Pradze donoszą, że deficyt, jak obecnie definitywnie stwierdzono, wynosi 8 milionów koron. Defraudacye trwały od roku 1881.

Choroba. Stan zdrowia prof. Lenbacha tak się pogorszył, że lekarze wątpią, czy wyzdrowieje.

Hr. Lew Tołstoj — jak donoszą z Tuły — zachorował na ciężkie zapalenie płuc. Według orzeczenia lekarzy, przebieg choroby jest normalny.

Trzęsienie ziemi w Turkiestanie. Trzęsienie ziemi ciągle jeszcze trwa i jest z dniem każdym straszniejsze. Terytoryum wstrząśnień obejmuje już 200 wiorst kwadratowych. Generalny gubernator Turkiestanu, generał Iwanow, zarządził zbudowanie baraków na umieszczenie władz. Dotąd zginęło około 4.000 osób. W jednej dzielnicy miasta znaleziono 800 trupów. Urządzono kuchnie, w których bezpłatnie rozdaje się żywność. Kasa państwowa z 5 milionami rubli leży pod gruzami. Studnie są zasypane. Zarząd kolei bezpłatnie dostarcza wagonów na sprowadzenie środków żywności. Dotąd wpływa bardzo mało datków pieniężnych dla dotkniętej katastrofą ludności. Car ofiarował dla ludności, dotkniętej trzęsieniem ziemi w Andidżan kwotę 50 tysięcy rubli.

Zamach na kościół. Ubiegłej nocy o godzinie 1 eksplodowała przy bramie katedry św. Piotra w Genewie bomba, która zniszczyła część portalu. Szyby w oknach katedry potrzaskane. Bomba składała się z gwoździ i kawałków żelaza. Na szczęście sprawca niezręcznie podłożył bombę — inaczej byłaby ona spowodowała straszną katastrofę.

Ostatnie słowo.

Kobieta nigdy nie jest szczęśliwa, gdy nie ma ostatniego słowa.

To mylne zdanie. Kobieta obstaje zawsze przy tem, aby mężczyzna miał ostatnie słowo, ale musi ono wyjść w formie prośby o przebaczenie.

Składki. Zamiast wieńca na trumnę ś. p. Anieli Marcoin mąż i synowie złożyli: na Przytulisko weteranów z 1863/4 r. 20 K i na szkołę polską w Białej 20 K.

Dla „gdowy" na wieczerzę wigilijną dla biednych złożył p. Buzath 4 K.

Uniwersytet ludowy im. A. Mickiewicza.

W piątek 26 grudnia: Włodzimierz Jarosz: „Historya reformacyi".

W sobotę 27 grudnia: Dr Ludwik Brunner: „O węglu".

W niedzielę 28 grudnia od godz. 5 do 6: Włodzimierz Jarosz: „Historya reformacyi", od g. 7½ do 8½: Dr L. Brunner: „O węglu".

Repertoar Teatru miejskiego.

We czwartek 25 grudnia: „Balladyna".

W piątek 26 grudnia po południu: „Kościuszko pod Racławicami"; wieczór: „Wilhelm Tell".

W sobotę 27 grudnia: „Pamiętniki szatana", komedya w 3 aktach ze śpiewami Arago i Vermond (jubileuszowy wieczór Juliusza Jejdego).

W niedzielę 28 grudnia po południu: „Wesele"; wieczór: „Pamiętniki szatana".

We czwartek 30 grudnia: „Mieszczanie".

We środę 31 grudnia: „Sen nocy letniej".

We czwartek 1 stycznia: „Wilhelm Tell".

W sobotę 3 stycznia: „Na strażnicy", sztuka w 4 aktach J. Galasiewicza.

Z kalendarza. We czwartek 25 grudnia: Boże Narodzenie; w piątek 26 grudnia: Szczepana, pierwszego męczennika; w sobotę 27 grudnia: Jana ap. ewang.

Wschód słońca 25 grudnia o godzinie 7 minut 41, zachód o godzinie 3 minut 37, długość dnia godzin 7 minut 56.

Z krakowskiego obserwatoryum. Dnia 23-go grudnia pochmurnie; termometr doszedł od — 5·8 do — 2·1 C. Barometr szedł w górę.

Dnia 24 grudnia o godzinie 7 stan barometru 755·9 mm., termometru — 11·8

Wiatr zachodni.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

— **Kalendarze K. Wojnara.** Zachęcony pierwszą zeszłoroczną, pomyślnym skutkiem uwieńczoną próbą wydania kilku popularnych kalendarzy ludowych, które miały za zadanie wyrugować, szkdliwe a tak bardzo niestety u nas rozpowszechnione kalendarze Steinbrennera, wydał p. Kasper Wojnar, gorliwy krzewiciel piśmiennictwa ludowego i w tym celu kilka kalendarzy, których ulepszona treść i staranny pod każdym względem układ zalecają je ze wszech miar do rozpowszechnienia. Uznania godna inicyatywa p. Wojnara, który w swem pożytecznem przedsięwzięciu ma niemałe trudności do zwalczenia, zasługuje na szczere poparcie społeczeństwa i ludzi, którym moralne zdrowie i dobro ludu naszego leżą na sercu. Kalendarze Wojnara ułożone są tak, że czytać je może nie tylko lud ale i szerokie warstwy mieszczaństwa i drobnych rękodzielników. Ludzie, których zawodowe zajęcia oddalają od ognisk ruchu piśmienniczego, znajdą w nich nader pożyteczną strawę dla serca i umysłu, rozrywkę i pokrzepienie dla ducha. Kalendarzy tych jest kilka, a wszystkie odznaczają się zacną uszlachetniającą tendencyą, szczerem poczuciem religijnem i patryotycznem. Zważywszy, że w sferach dla których te kalendarze są przeznaczone, stanowią one jedyną może na cały rok lekturę, tem większą zasługę ma p. Wojnar, że dostarczaniem umiejętnie wybranej treści, ładną formą i starannemi illustracyami dodaje zachęty do ich czytania i nabywania. Nie wątpimy, że przy życzliwem poparciu społeczeństwa powiedzie się p. Wojnarowi w niedalekim czasie zupełnie wyrugować kalendarze Steinbrennera. Kalendarze Wojnara są następujące:

„Polak" illustrowany kalendarz historyczno-powieściowy przynoszący przeważnie treść patryotyczną i narodową. Zaczyna się on wierszem Konopnickiej, „Nowe lato", poczem idzie szereg powiastek zajmujących jak n. p. „Dwaj bracia" obrazek z wojny rosyjsko-tureckiej, „Syn zdrajcy" obrazek z powstania 1863 r., „Walka o ziemię" M. Konopnickiej, „O najnowszych wynalazkach" Edmunda Libańskiego, „O wulkanach" przez prof. Siemiradzkiego, „Czemu u nas taka bieda?" przez E. Libańskiego, „Za wolność i lud". W czterdziestą rocznicę walki o wolność 1863 r. oraz artykuł „Co słychać w Polsce", przedstawiający położenie Polaków we wszystkich trzech zaborach. Obrazków w tekście jest 65 a dodatek osobny stanowią „Pieśni narodowe" i „Kalendarzyk ścienny". Cena 40 ct.

„Polski kalendarz Maryański" poświęcony sprawom religijno-narodowym przynosi między innemi zajmującą rzecz „Z dziejów kościoła" — wykład o schyzmie i unii, „Dwaj książęta kościoła jako męczennicy i wygnańcy", „Ze wspomnień osobistych 1863 r.", „Modlitwa o opiekę Bożą" Or-ota, „Jasełka, czyli Misteryum Bożego Narodzenia" utwór sceniczny w 3 obrazach Ks. K. Jarego i wiele innych umoralniających i pouczających artykułów. Obrazków 40. Cena 30 centów.

„Gospodarz", cieszący się od lat kilku wielkiem powodzeniem u ludu przynosi artykuły treści gospodarczej, przyrodniczej, patryotycznej i ekonomicznej. A więc: „Jakie ludy zamieszkują ziemię" przez prof. Nitmana, „Maciej Mazur" pow. A. Szymańskiego, „Dziaduś" wiersz M. Romanowskiego, „O wypadkach z dziećmi i ważniejszych chorobach dzieci", „Trzoda chlewna w gospodarstwie", „Praktyczne wskazówki dla gospodyń", „W czterdziestą rocznicę powstania 1863 r." przez K. Wojnara i w t. p. Cena kalendarza z dodatkami 40 ct. albo 30 ct.

Wielki kalendarz powszechny obejmuje treść wszystkich trzech poprzednich a więc 24 arkusze druku i 170 obrazków w tekście, 13 druków na lepszym papierze i dodatki: „Kalendarzyk ścienny" i „Pieśni narodowe". Cena w oprawie 80 ct.

— **„Wędrowca"** illustrowanego tygodnika wychodzącego w Warszawie wyszedł z pod prasy numer 51 i jako numer wigilijny posiada treść obrazkową i literacką zastosowaną do chwili. Na wstępie widnieje piękna rycina tytułowa ołówka K. Górskiego: „Gwiazdka biednych dzieci". Dalej następuje rzewna powiastka ludowa: „Hanusina Wigilia" pióra Edmunda Zechentera, znanego czytelnikom z licznych utworów zamieszczonych w feletonach „N. Reformy". Zawartości numeru dopełniają liczne poezye Or-Ota, artykuły z wszelkiej dziedziny życia umysłowego i społecznego, recenzye książek, bibliografia i t. p. Bardzo zajmującym jest artykuł p. Wojciecha Szukiewicza p. t. „Artyzm w książce" ilustrowany licznemi rycinami.

— **„Poradnik językowy"** rozpoczął III rok istnienia i z nadzwyczajną punktualnością wydał już zeszyt pierwszy na styczeń r. 1903. Numer ten jest nadwyraz interesujący i zawiera bardzo wiele prac zajmujących. Treść nru jest następująca: I Z psychologii języka polskiego napisał dr Stanisław Dobrzycki. II Zapytania i odpowiedzi z głosowni, ze słowotwórstwa, ze znaczenni, wyrazy obce, ze składni, germanizmy i rusycyzmy. III Roztrząsania „botynki" ruskie? dr T. Estreicher, cytata czy cytat? dr T. Estreicher, prosić siostrę czy siostry prof. J. Dobrowolski. IV Krotochwile językowe. V Korespondencya redakcyi.

— **„Architekt".** Ostatni numer (12) bieżącego rocznika „Architekta" pięknie zamyka uznania godne wysiłki redakcyi, która usprawiedliwiła nadzieje jakie ogół wiązał z powstaniem tej wysoce artystycznej na wyżynie nauki i kultury współczesnej stojącej publikacyi. Znajdujemy tu dokończenie sprawozdania z głośnego dzieła Ruskina „Siedm lamp architektury", wysoce aktualny artykuł omawiający fachowo i wyczerpująco sprawę budowy ratusza krakowskiego.

Znajdujemy tu opinię krakowskiego tow. technicznego oświadczającą się za budową nowego ratusza na placu św. Ducha, opinię architekta p. Mensa proponującą pod budowę narożnik ulicy Basztowej i Rynku kleparskiego, wreszcie opinię redaktora Ekielskiego proponującą plac zajęty obecnie pod jatki Dominikańskie.

W dziale ilustracyjnym znajdujemy projekta witrażów dla kaplicy cmentarnej pod Opawą dokonane przez Mehoffera, widok wnętrza jednego z piękniejszych pod względem stylu, oryginalności i ozdobności architektonicznej domu prof. Ekielskiego przy ulicy Wolskiej, oraz wizerunek ambony w kościele w Suchej zbudowanej przez Prof. Talowskiego.

— **„Ilustracya Polska"** z bieżącym numerem 52 skończyła drugi rok swego wydawnictwa, które znalazło się z tak ogólnem i sympatycznem przyjęciem ogółu. Ostatni numer w dziale ilustracyjnym stoi na wysokości pierwszorzędnych takich publikacyj, przynosi bowiem kilka wspaniałych dzieł Matejki i Grottgera dotąd nigdzie nie produkowanych, oraz kolorowe ryciny „Wawelu" podług rysunku St. Tondosa i H. Uziembły. W bogatej części literackiej zwraca uwagę wstrząsająca grozą powieść Artura Gruszeckiego „Pruski Huzar". „Ilustracya" uwzględnia także „Mody", sporty i wszelką dziedzinę życia towarzyskiego.

— **„Wawel".** Pod tym tytułem ukazała się w handlach księgarskich wspaniała publikacya. — Złożyły się na nią 2 prace literackie o katedrze i o zamku, pióra dra Jerzego Żuławskiego i Józefa Nekandy Trepki, oraz 50 przeszło ilustracyj, między któremi 2 kolorowane przez Stanisława Tondosa i Henryka Uziembłę. Wydawnictwo to wyszło staraniem redakcyi „Ilustracyi Polskiej". Stylową oprawę z tłoczeniami o trzech kolorach, wykonał artystyczny zakład introligatorski Ogrodzińskiego w Krakowie.

— **Niezapominajka,** kalendarzyk ilustrowany humorystyczny na r. 1903. opuścił prasę w zgrabnym formacie kieszonkowym i ładnej oprawie. Oprócz szeregu ilustrowanych życiorysów głośniejszych osobistości z kroniki ubiegłego roku, tekst wypełnia humorystyka i ogłoszenia. Wydawcą jest p. Józef Knapik.

— **„Nowego Słowa",** dwutygodnika dla kobiet wydawanego w Krakowie, opuścił prasę Nr 24 za grudzień i zawiera: Marya Turzyma: „Z końcem roku". — Iza Moszczeńska: „Prostytucya i praca kobiet." — D. R.: „Młodsze nauczycielki w walce o swe prawa". — St. v. Kelles-Krauz: Kronika. — Helena Nadrabska: „Gdy słońce wschodzi". — Zofia Strzetelska: „Z ostatnich zbiorów". — Bieżący numer jest ostatnim, zamykającym pierwszy rocznik wydawnictwa „Nowego Słowa", które w szerokich warstwach pań polskich zdołało sobie uzyskać ogólne uznanie.

— **„Janek",** opera Żeleńskiego wystawiona będzie w Warszawie w teatrze Wielkim z p. Floryańskim w roli tytułowej.

— **Warszawski teatr Rozmaitości** wystawi d. 30 b. m. komedyę w 3 aktach Krzywoszewskiego d. t. **„Małe dusze".**

— **„Sztuka" w Wiedniu.** Wystawa Stowarzyszenia „Sztuka" w „Secesyi" wiedeńskiej, obok niezwykłego powodzenia moralnego, ma też i znaczny sukces materyalny. Dotąd — jak z Wiednia donoszą — zakupiono 12 dzieł większych i wiele mniejszych. Między innemi arcyksiążę Karol Stefan z Żywca nabył „Młyn" Ruszczyca i pejzaż Stanisławskiego. Minister oświaty zakupił z przeznaczeniem dla Muzeum Narodowego w Krakowie Szymanowskiego grupę „Mickiewicz", pejzaż Stanisławskiego i Laszczki rzeźbę „Chłopka". Drugą „Chłopkę" tegoż artysty nabył poseł dr Rapoport, który oprócz tego kupił jeszcze portret Laszczki, wykonany przez Wyczółkowskiego. JE. Chłędowski nabył również Wyczółkowskiego portret podwójny: własny i Laszczki. Każdy prawie z artystów sprzedał część wystawionych dzieł, a pamiętać należy, że znaczna część ich pierwej już znajdowała się w rękach prywatnych, jak n. p. wszystkie płótna Chełmońskiego.

— **„Die neue Richtung"** (Nowy kierunek), pod tym tytułem wyszła książka, napisana przez Pawła Goldmanna, zajmującego obecnie jedno z pierwszych miejsc wśród młodej generacyi krytyków. — Książka jest zbiorem artykułów o teatrze, w których autor zwalcza tak zwany „nowy kierunek" w sztuce. Goldmann ostro zwłaszcza atakuje Hauptmana, jako najwybitniejszego reprezentanta tego kierunku.

Dział ekonomiczny.

Z targów zbożowych. Kraków, 23-go grudnia 1902 roku. Płacono za 100 klgr. netto: Pszenica krajowa od 16·20 do 16·80. Pszenica węgierska od —·— do —·—. Żyto krajowe od 14·20 do 15·00. Żyto węgierskie od —·— do —·—. Jęczmień od 12·20 do 12·60. Owies z opłatą akcyzową od 14·20 do 13·80. Groch od 18·— do 26·— Tatarka od 14·— do 19·—. Proso od 11·— do 14·—. Fasola od 14·— do 18·—. Jagły od 18·— do 24·—. Siano od 6·40 do 7·20. Słoma od 4·— do 4·40. Koniczyna od 7·20 do 7·60. Ziemniaki za hektolitr od 3·20 do 4·00. Jaja za kopę od 4·00 do 4·80 Masła za 1 klg. od 2·— do 2·20. Masła za garniec od 7·30 do 8·00. Spirytus na 95% Tralesa za hektolitr od —·— do 178·—. Okowita na 75% Tralesa za hektolitr od —·— do 138·—. Kukurudza za 100 klg. od —·— do 14·80. Rzepak zimowy za 100 klg. od —·— do —·—.

Ostatnie wiadomości.

— Ostatnia kwestya sporna! Nareszcie dowiedziano się, o co głównie rozbijają się jeszcze rokowania w sprawie ugody austro-węgierskiej. Otóż ostatnią rzekomo kwestyą sporną są żądania gabinetu węgierskiego, dotyczące konwersyi 4,2 procentowej renty wspólnej. Według informacyi, jakie z Budapesztu otrzymała wiedeńska „Zeit", rzecz przedstawia się tak:

Kwestye, wytoczone przez rząd węgierski, odnoszą się przedewszystkiem do prawa spłaty, do stopy procentowej, według której dług rentowy ma być skapitalizowany, wreszcie do terminu konwersyi. Ustawa węgierska z r. 1867 przepisuje dokładnie, że spłata długu tego odbywać się ma ratami, o ściśle określonej wysokości, a dopłata Węgier do wspólnych procentów albo za pomocą amortyzacyi papierów długu, albo też gotówką. Co do tego nie istnieje różnica zapatrywań. Natomiast zasadniczo ścierają się obustronnie zdania co do stopy procentowej, według której przy konwersyi obliczać się ma dopłata Węgier. Rząd austryacki twierdzi słusznie, że jedynie miarodajną przy tem może być dzisiejsza stopa procentowa renty, to jest 4,2 — rząd węgierski natomiast pragnie skapitalizować swój udział w rencie po 5 procent, jako po pierwotnej jej stopie. Różnica na pozór niewielka, jednakże wobec wielkiej kwoty ogólnej tej renty, Węgry, postawiwszy na swojem, dużoby zyskały, Austrya zaś dużoby straciła. O to głównie rozchodzi się dziś wszystko.

— Podczas wczorajszego przyjęcia kardynałów, którzy przybyli złożyć mu życzenia świąteczne, Papież Leon XIII wygłosił dłuższą mowę. Zaznaczył w niej na wstępie, że manifestacye miłości, jakie wywołał rok jubileuszowy, zamącone zostały przez wypadki społeczne w różnych krajach. Papież ubolewał mianowicie nad przedłożeniem włoskiego rządu, dotyczącem rozwodów. Dalej wskazał na znaczenie chrześcijańskiej demokratycznej akcyi, która zupełnie odpowiada potrzebom czasu i zachęcał duchowieństwo, by na tem polu było czynne, jednakże z zachowaniem pewnych względów. Demokratyczna myśl, jak ją pojmuje Kościół, zgadza się z nauką i religijnemi przekonaniami chrześcijaństwa. Odrębnie od tej demokracyi chrześcijańskiej szerzy się inny, bezbożny i rewolucyjny ruch, dążący do zupełnie odmiennych ideałów. Przygotowuje się ostatni dzień dla obecnego ustroju państw, który to ustrój jednakże ten ruch podtrzymuje i mu schlebia. Chrześcijański ruch ludowy stoi w zupełnej sprzeczności do socyalnej demokracyi i ogranicza jej zgubny wpływ, przez co już przynosi wielkie usługi obecnym stosunkom.

— Z Bułgaryi donoszą: Na bankiecie urzędowym z okazyi imienin cara przez rosyjskiego agenta dyplomatycznego, Bachmetiewa, wniósł tenże toast na cześć obecnego na bankiecie księcia Ferdynanda, nazywając go „najwierniejszym i wypróbowanym przyjacielem Rosyi. Po przyjęciu adresu Sobrania, będącego odpowiedzią na mowę tronową, książę Ferdynand wygłosił mowę, w której w ostrych słowach zaznaczył, że Sobranie za mało pracuje.

Kronika lwowska.

Lwów, 23 grudnia.

Ankieta w sprawie propedeutyki filozofii. Na drugiem posiedzeniu ankiety obradującej nad ważnością nauczania propedentyki filozofii w gimnazyach przyjęto szereg wniosków, a między niemi najważniejszy, że w sprawie dalszego kształcenia nauczycieli tego przedmiotu wyraża ankieta życzenie, by Rada szkolna krajowa wysełała ukwalifikowane siły nauczycielskie, celem dalszego kształcenia do wzorowych instytutów psychologicznych w Austryi i za granicę (Grac, Berlin, Kopenhaga, Paryż). Zamykając obrady, p. wiceprezydent złożył serdeczne podziękowanie członkom ankiety za żywy i gorliwy udział w obradach, które niewątpliwie przyczynią się do tego, by tak ważną naukę wydobyć z zastoju, w jakim się obecnie znajduje.

Las w ratuszu. W dniu dzisiejszym biuro I-go departamentu magistratu przemieniło się w istny gaj sosnowy. To z lasów brzuchowieckich nawieziono setki drzewek Bożego Narodzenia, przeznaczonych dla rodzin urzędników magistratu i złożono je w kancelaryach dóbr, lasów i finansów miejskich. Więc od wczesnego ranka pielgrzymują urzędnicy i funkcyonaryusze miejscy do tego biura, aby odebrać zamówione drzewko, a gwar i wrzawa rozlega się dokoła jak pośród handlu drzewek świątecznych na placu Bernardyńskim.

Egzamin państwowy (II) na wydziale inżynieryi w politechnice lwowskiej złożył p. Władysław Kowalski z Charsznicy w Król. Polskiem.

Smierć na piecu. Dozorca domu pod l. 22 a) na Bogdanówce, miał w jednej, z swej pieczy oddanych, a stojącej pustką ubikacyi, piec piekarski, z którego dwojaki robił użytek. Po pierwsze wynajmował go na pieczenie chleba i bułek, a po drugie, wierzch jego wynajmował bezdomnym włóczęgom jako nocne legowisko. Tak samo było i przedwczoraj. Na ciepły jeszcze piec, „sprowadzili się" wieczorem do spania dwaj mężczyźni, niejaki Tomasz Jubek i drugi staruszek około 70-letni, niewiadomego nazwiska. Noc całą spali na ciepłym piecu obaj znakomicie, rano napili się wódki, zmówili jeszcze wspólnie koronkę i rozeszli się. Jubek poszedł do miasta, staruszek zaś został na piecu dalej mówiąc, że „porządnie" wyspać się musi. W południe wczoraj, przyszło kilka kumoszek, aby upiec świąteczne strucle. Napaliły w piecu, włożyły ciasto do pieca i gawędząc czekały dopieczenia się jego, gdy uczuły nagle silny swąd. Ciekawe kobiecięta zarządziły rewizyę izby i znalazły na piecu leżące bez ruchu zwłoki staruszka. Biedaczysko widocznie zaczadził się na śmierć na piecu. Lewa noga biedaka, która przypadkiem dotykała do blaszanej rury pieca, upiekła się zupełnie. Śledztwo sądowe w toku, wątpimy jednak, czy i w jakim stopniu znajdą się winni śmierci staruszka.

Szkoła nauk politycznych zakończyła onegdaj pierwszy swój kurs. Na 46 wykładach było ogółem 2205 słuchaczy (w tem 438 kobiet). Liczba członków towarzystwa wynosi obecnie 244, a mianowicie: 232 zwyczajnych, 9 wspierających i 3 założycieli.

Drugi kurs szkoły, poświęcony badaniu polskich stosunków ekonomicznych, rozpocznie się dnia 1-go lutego 1903 i trwać będzie do końca marca. Program wykładów tego kursu i lista prelegentów przedstawia się w sposób następujący: 1. Kwestya agrarna ze szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich (prof. dr. J. Gw. Pawlikowski, dr. J. Rozwadowski i dr, K. Paygert). 2. Przemysł i handel w Galicyi (sekr. dr. Wł. Stesłowicz, dyr. J. Steczkowski, p. L. Baczewski i dyr. M. Małaczyński). 3. O emigracyi i kolonizacyi ze szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich (docent uniw. Buzek). 4. Kwestya socyalna i socyalizm ze szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich (p. Wł. Studnicki). 5. Statystyka ludności ziem polskich (dr. Z. Pazdro).

Zarząd postanowił przystąpić w r. 1903 do działalności wydawniczej i rozpocząć ją od wydania „Statystyki porównawczej Galicyi". Do opracowania tego dzieła zaprosił zarząd docenta uniw. dr. Buzka, prof. J. Gw. Pawlikowskiego, dr. Z. Pazdrę i p. Wł. Studnickiego; obejmie ono około 40 arkuszy druku i 20 map. Zeszyt pierwszy pojawi się w marcu 1903 r.

Z dziejów szulerni we Lwowie. „Słowo Polskie" donosi: 100.000 kor. długu karcianego zrobił urzędnik namiestnictwa p. Oczosalski i, nie mogąc długu uregulować, uciekł ze Lwowa. Bohater pracy nocnej nad zielonym stolikiem pozostawił kolegom biurowym troskę o weksle, które z przyjaźni dla niego podpisywali, a rodzinie dalszej troskę o żonę i dziecko. Karyerę szulerską p. O. robił w kasynie końskiem. Nietylko kawiarnie lwowskie są siedliskiem hazardu; zaraza idzie z góry, z tych sfer, które imponować mogą dużemi zyskami z szulerki. Za ich przykładem idzie urzędnik, pragnący tą drogą polepszyć swój byt materyalny, idzie cała pseudo-inteligencya, zapełniająca kartami pustkę duszy.

Repertoar Teatru lwowskiego.

We czwartek po południu: „Śpiący rycerze"; wieczór: „Słodka dziewczyna".

W piątek po południu: „Piękna z Nowego Jorku"; wieczór: „Dzwon zatopiony".

W sobotę po południu: „Słodka dziewczyna"; wieczór: „Słodka dziewczyna".

W niedzielę po południu: „Na Łyczakowie"; wieczór: „Lekcya tańców".

W poniedziałek: „Dług honorowy", komedya w 3 aktach Zygmunta Przybylskiego (po raz pierwszy); rozpocznie „Pietro Caruso", dramat w 1 akcie Roberta Bracco, przekład Kasprowicza (debiut p. Wandy Orbitówny w roli Margerity.

We wtorek: „Słodka dziewczyna".

We środę: „Rok 1902", przegląd sceniczny w 12 odsłonach.

Telegraficzne i telefoniczne wiadomości „N. Reformy"

z dnia 24 grudnia.

Lwów. Z Borysławia donoszą, że ubiegłej nocy o godz. 4 zrana wybuchł tam pożar w kotlarni jednej z kopalń nafty przy ulicy Pańskiej. Zabudowania spłonęły doszczętnie. Cisza i padający śnieg przeszkodziły rozszerzeniu się pożaru.

Lwów. „Gazeta Lwowska" ogłasza: Sąd krajowy wyższy w Krakowie zamianował kancelistę sądowego w Dębicy, Antoniego Nowickiego, oficyałem kancelaryjnym z pozostawieniem go na dotychczasowem miejscu służbowem.

Wiedeń. Szef gabinetu jako minister sprawiedliwości przeniósł notaryusza, Jana Rudnickiego, z Łąki do Brzeżan, oraz zamianował kandydata notaryalnego, Klemensa Rozłuckiego, we Lwowie notaryuszem w Bukowsku.

Lwów. „Gazeta Lwowska" ogłasza: Namiestnik przeniósł lekarza powiatowego dra Antoniego Coghena z Trembowli do Złoczowa, koncepistę sanitarnego dra Leopolda Haima ze Lwowa do Stanisławowa, dra Aleksandra Jastrzębskiego z Peczeniżyna do Trembowli i dra Jana Jossego z Nadwornej do Peczeniżyna, oraz asystenta sanitarnego dra Franciszka Sękiewicza z Turki do Lwowa.

Rosya w Korei.

Berlin. „Biuro Wolffa" donosi z Söul, że utworzono tam nowy gabinet. Na żądanie Rosyi, ministrem skarbu został ponownie mianowany Yi. — Rząd japoński zaprotestował przeciw temu. Yi udał się wczoraj na pokładzie okrętu rosyjskiego do Portu Arthur, gdzie pozostanie, aż sytuacya się nie wyjaśni.

Dramat na wyżynach.

Wiedeń. Towarzyszka arcyks. Leopolda Ferdynanda jest córką pewnego obywatela z okolicy Iglawy. Jedna z sióstr jej jest zamężna za byłym oficerem. Książę poznał ją w Wiedniu, gdzie zatrudnioną była przy pewnym teatrze, i nakłonił ją, ażeby zerwała z rodziną swoją. — Następnie sprowadził ją do Iglawy i urządził jej książęce mieszkanie. Odwołany stamtąd, zabrał ją do Wiednia i tam kupił jej willę na Waehringu.

Stosunek jego z piękną Wilhelminą był znany na dworze. Gdy książę oświadczył, że zamierza z nią się ożenić, wysłano go do Egiptu.

Po wyjeździe jego przybył do willi arcyksiążę Józef Ferdynand wraz z pewnym prawnikiem i oświadczył jej, że życzeniem cesarza jest, aby opuściła Austryę. Gdy się milcząco na to zgodziła, sprzedano jej willę za 80.000 K, 20.000 K dano jej do ręki, a resztę ulokowano dla niej w pewnym banku. — Wilhelmina wyjechała następnie. Sprawa ta tak dotknęła arcyksięcia Leopolda, że teraz wyjechał za nią.

W Genewie bawił w hotelu Angleterre tylko krótko. Pozostawiwszy tam siostrę, wyjechał z Wilhelminą do Egiptu.

Wczoraj przybył do hotelu Angletterre arcyksiążę Józef Ferdynad i starał się nakłonić siostrę do powrotu. Księżna Ludwika oświadczyła, że co się stało, już się odstać nie może i że wybranego serca swego nie porzuci. Arcyksiążą wrócił z tego powodu do Wiednia.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Michał Konopiński.

Do niniejszego numeru dołączony jest prospekt **„Smigusa"** i **„Mód paryskich".**

Do części nakładu numeru niniejszego, a mianowicie dla P. T. Prenumeratorów w Krakowie dołączony jest prospekt illustrowanego pisma p. t. **„Ziarno",** w Warszawie wychodzącego.

Cennik Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie

z 23 grudnia 1902 r. godzina 1 w południe.

	Korony płacą	Korony żądają
I. Waluty		
Ruble papierowe	252 50	254 —
Marki niemieckie	116 70	117 20
Franki papierowe	94 50	95 50
Dwudziestofrankówki w złocie	19 08	19 18
II. Listy zastawne.		
5% Listy zastaw. prem. Banku hipot.	110 —	— —
4½% Listy zastawne Banku hipotecz.	100 —	100 50
4% „ „ „	95 50	96 50
4½% Listy zastawne Banku krajow.	100 75	101 75
4% „ „ „	96 75	97 75
4% Listy zast. gal. Tow. kred. ziem. nieok.	96 25	— —
4% „ „ „ „ „ „ 41-letnie	97 —	— —
4% „ „ „ „ „ „ 56-letnie	95 75	96 75
III. Obligacye i pożyczki.		
4% Galicyjskie obligacye propinacyjne	99 —	100 —
4% Pożyczka krajowa z r. 1893	97 25	98 25
4% „ miasta Lwowa	94 50	95 25
4½% „ „ „	100 50	101 50
5% Obligacye komunalne Banku kraj.	102 —	103 —
4½% „ „ „	100 —	101 —
4% „ kolejowe	96 25	97 25
IV. Losy.		
Losy miasta Krakowa	76 —	79 —
V. Akcye.		
Akcye Banku hipotecznego we Lwowie	530 —	588 —
„ „ Galic. dla h. i p. w Krak.	— —	— —
„ „ Lwów-Czerniowce-Jassy	560 —	563 —
VI. Publiczne zapisy długu.		
4 2/10% wspólna renta pap.	101 15	101 65
4 2/10% „ „ srebrna	101 —	101 50
4% renta koronowa austryacka	100 25	100 75
4% „ „ węgierska	97 75	98 25
4% renta austracka w złocie	120 50	121 —
4% „ węgierska w złocie	120 —	120 50

Z Drukarni Literackiej (przedtem pod firmą Nowa Drukarnia Jagiellońska) w Krakowie, ul. Jagiellońska 10. Rządca Drukarni L. K. Górski.

NA GWIAZDKĘ

DODATEK LITERACKI DO NRU 296 „N. REFORMY“ Z 25. GRUDNIA 1902.

Bóg się rodzi...

Noc wigilijna. Na wysokościach gwiaździste błękity i tarcz księżyca przejasna — na ziemi, jak okiem zatoczyć, biel niepokalana, nad którą uroczysta cisza wyciągnęła dłonie, jakby w godzinie cudu. Z przestworów niebieskich powodzie blasków spływają na pokryte śnieżną szatą pola, gaje, zarośla i samotną wioskę, co rozbiegła się wśród rozłogów, lesistych wąwozów i stromych zboczy. Miesięczna poświata rozlewa się miłościwie na niskie chaty, lśni w długich lodowych soplach, zwisających ze strzech, sieje milionami brylantów po zasutych śniegiem obejściach, w sadach i gajach przedziera się wskroś gałęzi, uginających się pod rzęsistą, białą okiścią i u stóp drzew maluje czarne sylwety cieniów.

I zda się, że cały ten obszar, zatopiony w rozbłękitnionej jasności, te szerokie, białe rozłogi, te zarośla szarzejące pośród wąwozów i te chaty, przysiadłe do ziemi, śnią sen jakiś czarowny, oglądają jakieś przesłodkie widzenie...

Długie upływają chwile, a nad szczytami drzew, nad rolami i chatami ciągle ogromna, zadumana cisza i tajemnicze milczenie bezmiarów, zasłuchanych w wieczność. Naraz wieś jakby westchnęła i zawołała radośnie wśród snu. Z chaty, uczepionej niby gniazdo jaskółcze na stoku pagórka, uniósł się jakby szept jakiś, jakby senny, głęboki oddech, szczęściem nabrzmiały. Z nizin, z pośród perłowych oparów, rozwieszonych nad przyziemnemi gąszczami, dobył się nagle niby okrzyk rozradowania i pomknął w świetliste dale... Marzą słodko chaty, pola i drzewa, marzy znękana dusza tej ziemi i śni sen błogosławiony, rzewnosci pełen i szczęsnych upojeń. Śni o betleemskiej stajence i o Dzieciątku, co przed wiekami zstąpiło z niebios, aby głosić miłość i przebaczenie, w męce i poniżeniu święte skronie krwawym potem oblewać i pierwsze zdroje łask nieśmiertelnych zlać na głowy maluczkich...

I w cudownem marzeniu ogląda gwiazdę betleemską, co zawisła nad ubogą stajenką. I widzi gromadkę pasterzy w zgrzebnych świtkach i szarych guńkach, tłoczącą się do biednych, drewnianych wrót. Zdjęci dziwną obawą, stoją z zapartym oddechem, albowiem owiewa ich tchnienie boże. Lęk nienazwany chwyta ich za serca, lecz zarazem z prostaczych piersi bucha żar niewysłowionego szczęścia. Przy blasku kaganka, rzucającego raz po raz dokoła szerokie łuny światła, przez łzy świętego rozrzewnienia widzą schyloną nad żłóbkiem, smukłą jak lilia, postać niewieścią i czcią przejmujące oblicze starca, całą duszą zatopionego w niemej modlitwie. A tuż obok dwa ogromne łby poczciwych zwierząt roboczych, nieodstępnych towarzyszów rolnika. W górze, wśród starych wiązań dachu, słychać jakoby szumy i tchnienia tajemne, a zdumione oczy prostaczków dostrzegają unoszące się nad świętą rodziną jakieś skrzydlate postacie, jakby z mgieł srebrnych i tęcz zrodzone i do uszu ich odchodzą jakieś pienia cudowne, hymny radosne, płynące hen w górze pod niebem z gwiazd i szafiru.

W pewnej chwili Matka-Dziewica z rozsłonecznionem obliczem wzięła na ręce boże Dzieciątko i po twarzach pasterzy przesunęło się promienne spojrzenie dwojga ocząt z błękitu, ocząt zdających się wówczas już mówić: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście“... A gdy w olśnieniu i trwodze upadli na ziemię, wzniosły się maleńkie, przeczyste rączęta i błogosławiły tym głowom prostaczków, ich pracy i ubóstwu, błogosławiły cichej stajence, zwierzętom roboczym, całemu dobytkowi rolnika...

. . . .

Taki sen w noc wigilijną śniła wieś polska. Wtem ze szczytu starej, drewnianej dzwonnicy ozwało się naraz donośne spiżowe wołanie. Lecz dźwięki nie rozlegały się całą pełnią metalicznych tonów, nie głosiły się w dal i szerz, ale jakby zdławione, drżące od wzruszenia, roznosiły naokół stłumione, pełne szczęścia łkanie:

— Bóg się rodzi... Odkupienie zstępuje... Gloria in excelsis!...

Edmund Zechenter.

Gwiazdka.

Na zimowym, na lazurze,
Pierwsza gwiazdka błysła w górze
I nad ziemią lśni;
Tak wesoło, tak radośnie
Promienisty blask jej rośnie,
Jak za wiosny dni!

Z dobrą wróżbą gwiazdka złota
Na świat patrzy i migota
Z lazurowej toni;
A na świecie, wbrew zawiei,
Słychać rzewny śpiew nadziei:
To kolenda dzwoni!

W białym dworze, w niskiej chacie
Syn przy ojcu, brat przy bracie
Usiedli za stół;
Zcichły życia zawieruchy,
Ludzkie serca, ludzkie duchy
Nowy węzeł skuł!

Żywszem światłem wzrok jaśnieje,
Zorza uczuć w sercach dnieje;
Wokół cieplej, jaśniej;
Gdyby cudem świat się zmienia:
Blask go wiary wypromienia,
Jak w czarownej baśni!

W tę gwiaździstą noc zimową,
Z aureolą ponad głową
Stąpa Dziecię—Bóg;
Biel się srebrzy Jego szaty,
Tam, gdzie kwitną szczęścia kwiaty,
I gdzie rośnie głóg.

Na zbolałe, smętne skronie
Miłościwe kładzie dłonie,
Ludzką żałość koi;
A ten, kogo dotknie ręką,
Już wziął rozbrat z łzą i męką:
Wyżej nad nie stoi!

Gwiazdo złota! świeć, świeć żywo!
Niech się mota snów przędziwo!
Niech się blask twój mnoży!
I na zawsze w ludzkiem łonie
Iskra wiary niech zapłonie
I miłości Bożej!

Or—Ot.

Bal w wigilię.

(Wspomnienie z niedawnych dziejów).

Pułkownik Miesojadow, naczelnik wojenny w Łomży, urządza bal. Wesoło mu, więc pragnie bawić się ochoczo, choć karnawału jeszcze niema. Dość ma rozrywek rozmaitych. Przed trzema dniami kazał zbić do krwi małego chłopca, bo zawinił srogo: miał w ręku latarkę niezapaloną. Wprawdzie chłopiec tłumaczył się i usprawiedliwiał, iż mu wiatr latarkę zdmuchnął, ale nic to nie pomogło.

Przed tygodniem lepsza była sprawa. Pani Majewska, śliczna, młoda kobieta, stała przed pułkownikiem Miesojadowem, musiała zapłacić 26 rubli kary, bo miała czarną wstążkę przy kapeluszu...

— Uśmiechnij się pani do mnie, raz uśmiechnij się życzliwie, — powiada Miesojadow, — a karę daruję, będę łaskawym.

Śmiać się zapomniałam, żałoba i pustka straszna около mnie. Męża mego od kilku miesięcy więzicie, nie pozwalając go nawet odwiedzić...

— Co tam mąż?... „Z bandy“ chwycony, „z bandą“ pójdzie w Sybir, a wy, piękna Laszko, o siebie dbajcie...

Majewskę wyprowadzono...

W tydzień przychodzą sołdaci przynosząc wezwanie na bal.

— Ja na bale nie chodzę... W żałobie jestem, mąż mój uwięziony od dawna, brat rozstrzelany przed miesiącem.

Kapitan Dymitrjew usłyszawszy tę odpowiedź radzi Miesojadowi:

— Obiecać jej, że męża zobaczy, to przyjdzie...

— Żadna nie obiecała przybyć.

— Każdej posłać tę obietnicę, że zobaczy kogoś ze swoich krewnych.

Oznaczony dzień balu nadszedł. W mieście cisza grobowa. Ledwie tu lub owdzie odezwie się, jak echo dalekie, nuta kolędy, nuconej nieśmiało; ledwie tu lub tam błysną światła w oknach. Wigilijny wieczór nie rozradował zbolałych serc, nie osuszył łez długo płynących, nie zabliźnił ran tylekroć zadawanych!... Jedni po lasach, bez dachu nad głową, bez nocy spokojnej, jak ptaki bez gniazd gnane i pędzone coraz dalej; inni zamknięci po lochach więziennych, męczeni przy śledztwach, katowani wśród badań, żywi, a przecież na wpół umarli z bolu i rozpaczy...

Cichy wieczór wigilijny, pełen uroku i wzruszeń serdecznych, mija niby noc żałobna...

Nad Łomżą, noc wigilijna stoi, jak śmierć straszna... Od domu do domu spieszą kozacy z nahajkami, drzwi wyłamują i rwą kobiety z okrzykiem:

— Na bal!... na bal!...

— Pułkownik chce się bawić, oficerowie chcą hulać, muzyka gra, kobiet brakuje... Na bal!...

— Ja chora — lekarz był u mnie...

Wloką z łóżka, szarpią.

— Na bal!... tańczyć trzeba...

— Nie pójdę! — Mam dwóch synów w więzieniu, staruszką już jestem, patrzcie, siwe, białe mam włosy... Zlitujcie się nad latami.

— Na bal!... Zobaczysz swoich dwóch synów, będą tam, przyprowadzą ich z więzienia...

Na tę wieść, staruszka staje jak wryta... Więc zobaczy swoich dwóch synów, więc pogada z nimi?... O! W tę noc wigilijną, w tę noc pełną cudu, łaski, nadziei, w której świat cały woła i śpiewa: „Chwała Bogu na wysokości!“ ona wreszcie swoje dzieci zobaczy... Zbiera się, trzęsącą ręką wkłada czarny czepeczek na osrebrzone włosy, wdziewa suknię jakąś, bo w czarnej iść nie wolno...

A kozacy szarpią i wołają:

— Prędzej, muzyka gra ochoczo...

Pani Majewska oparła się całą siłą...

— Nie pójdę! Nikt nie ma prawa z domu mnie wywlekać do sali balowej. Nie pójdę. Mąż mój w kajdanach, brata rozstrzelali. Dźwigam straszny ból nieszczęść. Zostawcie mnie.

Lecz kozacy szarpią ją i biją:

— Musisz być na balu, inaczej śmierć tobie.

— Nie pójdę!

Wzniosła blade czoło i stoi jak posąg bolu...

* * *

Na sali balowej już osób wiele. Oficerowie moskiewscy wpół pijani przyglądają się wprowadzanym przez sołdatów kobietom, a one wloką się na wpół omdlałe, martwe, skamieniałe.

— Majewskiej niema! raportuje kapitan Dymitrjew.

Pułkownik posiniał z gniewu...

— Ona być musi... musi ze mną tańczyć. Idź powiedz, że na balu zobaczy męża.

Było już około północy, gdy ją wprowadzono na salę.

Zobaczyć męża, to znaczy przeżyć w jednej chwli rok cały, to znaczy szepnąć mu w jednem zdaniu wszystko, o czem mu wiedzieć trzeba. Zobaczyć go, wreszcie stanąć przy nim, spojrzeć w te piękne, szlachetne oczy, usłyszeć jedno słowo z jego ust... Czemże to po długiej rozłące, po tylu cierpieniach!

Weszła...

Muzyka bębni, huczy, piszczy, Moskale gwiżdżą, tupią, wykrzykują, pary straszne wirują.

Pułkownik Miesojadow chwyta ją, obejmuje... nachyla się nad nią:

— Chodź Laszko, będziemy tańczyć.

— Mój mąż... szepcze blademi usty...

— Zaraz, zaraz ci tu męża przyprowadzą... O! ja słowa dotrzymam, będziesz go widziała...

Każdą tanecznicę Moskal wlecze za sobą w tym tańcu dantejskim, każda umiera z bólu, wstrętu i wzgardy, a muzyka gra, świszcze, dzwoni, szarpie nerwy.

— Kiedyż przyjdą nasi mężowie, synowie, ojcowie? Obiecaliście.

— Przyjdą!...

* * *

Dopiero teraz prowadzą ich z głębokich lochów, z za krat więziennych. Idzie ich szereg długi, niemy, okropny. Oczy zapadłe, twarze obrzmiałe puchliną wilgoci i nędzy, odzienie aresztanckie i kajdan łańcuchy... Oni nie wiedzą po co ich prowadzą: czy na śledztwo nowe, czy na katowanie świeże, czy na wysłuchanie wyroków?...

Patrzą w ciemne okna swoich mieszkań i zda się, że im widok ten, jak balsam wszystkie blizny goi...

Tam, tam w ogrodzie okna, przez które dzieci jego patrzą... Jakże dawno ich nie widział! W oknach ciemno, ale jemu i to pociechą, że wzrok zwrócił w tę stronę...

Tam jakieś światełko błyska. Może jego żona, cała w łzach i tęsknicy, klęczy przed obrazem Boga Rodzicy, może o wolność dla niego błaga, może szuka go myślą... Gdybyż wiedziała, iż on idzie teraz tędy, kajdany wlecze, idzie pod strażą...

Gdzie?... gdzie oni go wiodą?...

. . . .

A więc bal... Wszystkie struny instrumentów teraz grających zda się oplątują więźniom szyję jak sznury stryczków... Każdy ton muzyki dzikiej, hałaśliwej, szalonej, jak gwóźdź rani mózg i serce...

— Pocoście nas tu przywiedli?... Lepiej nam było w celi więziennej, lepiej w zmroku nocy, lepiej w głuchej ciszy grobu za życia, niż tu...

— Puśćcie nas do więzień!... Niech ta noc święta przejdzie w modlitwie.

Więźniowie, ustawieni w dwa straszne rzędy niewolników, stoją w dużej sali, a obok straż z bronią w ręku...

Zdala słychać szmer, jakby wleczonych ciężarów i śmiech dziki i tupanie nóg wielu...

Drzwi otwarte...

Jęk straszny zmieszał się z tonami muzyki i śmiechem Moskali...

— Co my widzimy?... Tańczą!... Nasze żony, córki, nasze matki siwowłose tańczą tutaj z wrogami i ciemiężcami?... Dziś, w noc cudu, noc aniołów, noc pokoju i ciszy...

— Lecz nie! One nie tańczą, ich wloką, ciągną, szarpią...

One ujrzały w drugiej sali dwa szeregi więźniów wynędzniałych, z oczyma zagasłemi.

Skrzyżowały się wejrzenia stojących pod strażą z wleczonemi w objęciach Moskali...

Zrozumieli się.

Pary wirują, kręcą się, nikną, znów ukazują się...

Dwa szeregi więźniów stoją, niby kolumny głazów...

— Tam matka!... Chryste Jezu, moja matka siwowłosa wleczona przez Moskala upada ze zmęczenia...

— Żono, ty tańczysz?... On śmie obejmować twoją kibić, ty oddech jego pijany czujesz przy sobie?... Żono moja!... nieszczęśliwa żono!...

A Polki żebrzą:

— Puśćcie nas do mężów, do ojców, do synów... Obiecaliście, że ich zobaczymy, przywlokłyśmy się dlatego. Puśćcie nas...

— Obiecałem i dotrzymałem — odpowiada Miesojadow. Widzicie ich...

Muzyka gra, Moskale wloką Polki i noc mija...

Nad ranem, straż odprowadzała więźniów do lochów cytadeli. Polki wracały później z wypalonemi od łez bruzdami na licach i sinemi pręgami na rękach, od wlokących ich Moskali do tańca... A z kościoła dzwony biły radośnie i lud w kościele śpiewał: „W żłobie leży, któż pobieży“!...

Nad ziemią mogił, szubienic i więzień, spływać począł świt jasny... Ranek pogodny budził tych, co spoczęli, ale nie rozjaśnił zmroku więziennych lochów i nie osuszył łez biednych Polek...

Jan Świerk.

TRZYNASTKA.

Początki firmy „Józef Ptaszek“ były bardzo skromne. Pan Tomasz Konik, z powodu nazwiska swojego uważający się za istotę wyższą od Józefa Ptaszka, opowiadał, że przed 20 laty p. Józef cały swój handel przywiózł z „miasta“ na Piasek sam przy pomocy swojej żony na wózku ręcznym, w przeciągu kilku godzin ułożył na półkach i w szufladach wszystkie towary, a gdy pani Janowa Sikorzyna weszła pierwsza do sklepu i kupiła „font“ mąki, p. Ptaszek z rozczulenia pocałował ją w rękę i poczęstował kieliszkiem wina. Przypuściwszy nawet, że p. Tomasz Konik przesadza, że początki firmy „Józef Ptaszek“ nie były znowu tak bardzo skromnemi, że historya o całowaniu ręki pani Sikorzyny nie jest udowodnioną, w każdym razie nie można powiedzieć, ażeby firma owa miała onego czasu jakiekolwiek podobieństwo do firmy „pod palmą“. Nieraz gdy ktoś rzucił na ladę piątkę papierową, p. Ptaszek musiał posyłać do sąsiadów, ażeby spędzić zbiorowemi siłami kilka guldenów drobną monetą.

A dzisiaj? Ba — dzisiaj posiada pan Ptaszek wcale ładną kamienicę, zahipotekowaną na nazwisko Józefa i Katarzyny z Bielów małżonków Ptaszków; ma wielki handel korzenny z wyszynkiem gorących napojów; zatrudnia dwóch praktykantów i jednego subjekta; na p. Konika patrzy z góry, a resztę może wydać już nie tylko z piątki, ale nawet z tysiączki, byle ją ktoś przyniósł. Pani Janowa Sikorzyna, jedyny klasyczny świadek w historyi o całowaniu reki, przeniosła się na Rakowice, gdy więc pewnego razu p. Konik śmiał w handlu p. Ptaszka w liczniejszem towarzystwie poruszyć tę sprawę, p. Ptaszkowa nagadała mu „paczkę“ niemiłych rzeczy i zagroziła procesem o obrazę honoru. P. Konik, skonfundowany przeprosił czemprędzej p. Józefową, która wtedy na dowód swojej wspaniałomyślności postawiła butelkę chrzczonego węgrzyna i rozpoczęła puszkę sardynek. Od owej chwili p. Konik stał się wielbicielem pani Józefowej i tylko czasami, gdy zaprószył sobie głowę u Chaima Abla, natrząsał się z Ptaszków i ich wielkości.

Równocześnie z firmą wzrastała oczywiście i rodzina p. Józefa, który doczekał się ośmiorga dzieci: siedmiu córek i jednego syna. Córka Janina była najstarszą, syn stał pośrodku, jako przyszły filar domu. Janinka, licząc kilka lat życia, bawiła się ongi na podwórzu z dziećmi stróża, obecnie zaś ukończyła pensyonat i zalicza się do najpiękniejszych panien na Piasku. Należy do czytelni dla kobiet; pomaga matce w gospodarstwie domowem; wieczorem obrabia lekcye z braciszkiem, który jest zdaniem swojego profesora, nadzwyczajną „pałą“; gra na fortepianie, śpiewa nieźle, słowem jest dumą rodziców. Posiada tylko, wedle przekonania ojca, tę tę jedną wadę, że często odwiedza rodzinę owego stróża, z którego dziećmi niegdyś bawiła się na podworcu.

— Co ją tam ciągnie do tej hołoty? — zapytał raz p. Józef.

— Demokracya — odpowiedziała pani Józefowa, — Teraz nastały takie czasy, że hrabiowie stróżom sprawiają bale. A zresztą córka stróża Szymona chodzi do seminaryum nauczycielskiego i jest przyjaciółką Janiny.

— A brat przyszłej belferki, ten malarz, także tam przychodzi i myśli, że z pomocą siostry zawróci głowę Janinie.

— Malarz dostał stypendyum i pojechał do Włoch.

— Na ciepłe kasztany — dokończył p. Józef, rad ze swego dowcipu.

Na Capri.

Błądziłem raz po Caprijskich drogach w piękny jesienny dzień, pełny złotych blasków w powietrzu i żółtych liści po drzewach i wśród kamieni — i błądziłem nie sam.

Zachodząc to tu, to owdzie, natknąłem się na maleńki cmentarz wyspy, zwabiony ciszą, odgrodzoną od świata wysokim białym murem. Leży to miniaturowe Campo Santo na pochyłem zboczu góry, wpatrzone w modrą zatokę, a po za nią w Neapol, Wezuwiusz i skały Sorrerto. Było południe i prawie upał. Skromne białe krzyże i marmurowe, nagrobkowe płyty odcinały się dziwnie wyraźnie i czysto na tle ciemnych cyprysów i krzewów lauru. Mnóstwo ponsowych róż i rozstrzępionych chryzantemów koloru jasnej miedzi kwieciły to pole zmarłych. Z głębokich lazurów nieba zdawała się spływać uroczysta cisza, cisza powagi, smutku, zaświatowych tajemnic.

Błądziłem po tym wirydarzu śmierci, słysząc szmer własnych kroków i szelest zeschłych liści, które wiatr rozsnuwał po grobach. Wzrok mój machinalnie zatrzymywał się na napisach i odczytywał obce wyrazy. „Qui riposa Cario“... „Qui riposa Giuseppe Pini“... „Qui riposa Annanciate“... To znowu: „Miserere mei o Domine“! „Requiescat in pace“. „In aeternam memoriam“... Wpół zatarte litery miały chronić od zupełnej zagłady to, co już zatarło życie...

Obyczajem nas wszystkich, błąkających się po obczyźnie, szukałem oczami czegoś, czego znaleźć nie chciałem.

— Il cimeterio degli forestieri — objaśnił mnie odźwierny cmentarza, wskazując wyodrębniony oddział, wyróżniający się wspaniałością niektórych pomników.

Leżą tu sobie spokojnie ci, którzy ze stron dalekich szukali na tej Caprijskiej wyspie zdrowia, rozrywki, a może jedynie spoczynku — tylko zapewne nie tego, jaki znaleźli. I znowu napisy: „Hier ruhet in Gott“... „Ruhe sanft“... „Ci git“... „Here lies“...

Nagle wzrok mój padł na świeży zupełnie polski napis na jednym z marmurowych krzyżów.

„Niech spoczywa w spokoju“.

Grób był starannie omieciony z liści i przybrany doniczkami różowych i żółtych chryzantemów. Na białej płycie wyczytałem:

Ś. p. Tekla P........a, ur. 7 kwietnia 1866 r. zmarła na Capri 13 marca 1901 r.

Przystanąłem, wpatrując się długo w te egzotyczne na włoskiem Campo Santo polskie wyrazy.

— Kto to był? — spytałem odźwiernego.

Krótka, niewyraźna historya, jakby końcowy ułamek długiej opowieści życia. Przyjechała niewiadomo skąd, przez pięć dni chodziła samotna po tutejszych białych, słonecznych drogach i nagle pewnego wieczora skończyła samobójczo wystrzałem z rewolweru, skierowanym po męsku prosto w skroń. Nikt nie przyjechał na pogrzeb. Wczoraj właśnie dano znać z hotelu, w którym mieszkała zmarła, że spodziewanym jest ktoś z jej najbliższych i kazano przybrać grób kwiatami.

I to już wszystko. Nikt nie pamięta, jak wyglądała; postać jej i twarz zatarła się w tym różnojęzycznym tłumie, jaki się przewija przez tutejsze hotele. Jedyny teraz ślad — ten biały grób, prędzej lub później skazany na zapomnienie, wyciągający białe ramiona krzyża tam bardzo daleko na północ, poprzez dwa morza, poprzez trzy pasma gór, a w ciche noce wpatrzony w gwiazdę polarną, kierownicę zabłąkanych i tęskniących.

. . . .

. . . .

I znowu błądziłem raz i znowu nie sam po wąskich, wykutych w skale ścieżynach na Punta Tragara, na południowym brzegu wyspy.

Skała wrzyna się daleko w morze, rozlane tutaj bezkresnym półkręgiem, rozmachniętym szeroko idealnie równą płaszczyzną. Jak wzrokiem ogarnąć — tylko niebo, tylko woda! Błękitna roztocz zabiega het po krańce horyzontu i ciągnie oczy, a za niemi duszę w tajemniczą dal, gdzie śnią się wysokie palmy gorącej Afryki i żółte piaski Sahary. Zabłąkane w tych odmętach bez granic statki suną gdzieś powoli i nikną jak cienie.

O wielkie, nieobjęte morze!

Coś ciągnie, coś wyrywa z piersi głębokie westchnienie... Chciałob się być ptakiem i lecieć, bujać, szybować — wytarzać się w tym błękicie i krzyczeć wielką pieśń rozkoszy nieba i oceanu.

Oglądam się po za siebie, na Capri.

To nie rzeczywistość: — to jaskrawo, przesadnie namalowany obrazek na pocztówce. W tle przeczystego lazuru tkwią różowo-żółte skały, szarawe oliwniki, zielone ogrojce pomarańcz, girlandy zrudziałych winorośli, a między niemi prostokąty budowli, to piętrzące się na szczytach wzgórz, to rozsypane po zboczach. Każdy dom zosobna jest prawie ruderą lub szpetną budą — wszystkie razem są arcydziełem wdzięku i wyglądają jak murowana fantazya. Każdy kształt, każdy zarys, wycinają się tak wyraźnie, że na parę kilometrów w dali widać laski piorunochronów, sterczące na płaskich dachach i niemal każdy liść na drzewie. Zdaje się, że maleńki moskit siędzący gdzieś na zrębie muru, jużby przerwał równość linii i odciął się na tle nieba. A na wszystko spada jaskrawe, gorącożółte słońce, które teraz, w grudniu, już nie pali, tylko grzeje i dobywa z każdego ciała dreszcze rozkoszy życia.

Doczekałem się zachodu.

Powoli, powoli rozpalona kula zsuwała się coraz niżej nad równą linię morza, aż wreszcie stanęła tuż nad wodą. Powietrze wypełniło się pomarańczowym blaskiem i przesłoniło złotawym pyłem i morze, i skały, i rozpięte na rozgorzałych trzonach pinie, i naszą ścieżkę. Szliśmy wśród jakiejś orgii barw i w ciszy... Tylko z daleka, z wielkich łębi, dochodził łagodny, monotonny szmer fal, ocierających się o skały. Powietrze przesycił zapach heliotropowych kwiatów i nespolów...

Sprawdzały się jakieś fantastyczne sny. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, roiłem o krajach dalekich, egzotycznych, pięknych. Oczami wyobraźni widziałem już te kolorowe skały ten przeczysty lazur nieba, te pinie, tę wielką płaszczyznę morza, ciągnącą się w nieskończoność — i dusza rwała się do nich.

Teraz miałem to wszystko. Miałem nawet więcej...

Ogarnęło mnie uczucie zachwytu. Jedna z chwil, w życiu wyliczonych, nigdy niezapomnianych, nigdy nie powracających. O czem tylko mogłem marzyć na krótki moment — było wokoło mnie, lub przy mnie. Nie potrzebowałem przymykać oczu z upojenia: jawa była snem, samem marzeniem. Wytrysło przedemną źródło rozkoszy i nasycenia, — i piłem, piłem — aż do zapamiętania się, aż do bólu...

Nagle na tle tych egzotycznych szafirów, przesłoniętych pomarańczowym blaskiem, gdzieś z kącika pamięci odbiły mi się również egzotyczne pod tem włoskiem niebem polskie wyrazy: *„S. p. Tekla P........a, zmarła na Capri 13 marca“*.

Nawet nie zmarła — zabiła się. A więc ten wieczny ból ludzki jest zawsze jednakowym i goni za nami wszędzie, nawet tu na Capri..

Ignacy Dąbrowski.

Ów malarz, będąc dzieckiem, z siostrą swoją i Janinką bawił się codziennie na podworcu, a malutka panna Ptaszkowna przynosiła czasem ze sklepu chleb z powidłem, częstując nim swoich towarzyszy. Wtedy p. Ptaszek nie strofował swej córki za wdawanie się z „hołotą", owszem sam nieraz, stojąc przed sklepem, rozmawiał ze stróżem Szymonem o złych czasach. Ale złe czasy nagle zmieniły się dla p. Ptaszka na bardzo dobre. Na pustych parcelach zaczęły wyrastać, jak grzyby po deszczu, nowe kamienice, a podczas budowy tłumy robotników przesiadywały w jego handlu. Pan Ptaszek w prywatnem swojem pomieszkaniu musiał nieraz sadowić gości, aż wreszcie wybudował sobie kamienicę i w niej umieścił swą firmę. Powoli zaczął zrywać ze swoimi starymi znajomymi, którzy nawzajem sami odsuwali się od niego, widząc, że u p. Ptaszka za wysokie progi na ich nogi. Rozmowy ze stróżem Szymonem ustały oczywiście, nie dlatego, ażeby p. Ptaszek zupełnie był zadowolony, ale poprostu dlatego, że uważał i stróża i wielu innych ludzi za hołotę.

Panna Janina nie zerwała z dziećmi stróża. Przychodziła dosyć często do towarzyszki zabaw dziecięcych, panny Stanisławy, która była na czwartym roku seminaryum i mieszkała w jednej izdebce z ojcem wdowcem. Brat Stanisławy, pan Władysław, uczeń Akademi sztuk pięknych, mieszkał osobno, ale wieczorami przychodził do ojca i wtedy w dusznej stancyi było gwarno i wesoło. Młodzi rozmawiali o literaturze i sztuce, sprzeczali się zawzięcie, potępiali lub chwalili rozmaite nowe prądy, a że Władysław przytem patrzył jak w tęczę w twarz panny Janiny, to wcale nie sprzeciwiało się jego zasadzie, że świat jest gromadą filistrów.

Pani Katarzyna Ptaszkowa znała p. Władysława i polubiła go nawet, natomiast pan Ptaszek uważał go jako artystę za człowieka całkiem niepotrzebnego na świecie. Gdy Władysław otrzymał stypendyum i pojechał do Włoch, gdy zwłaszcza zaczęły stamtąd przychodzić o nim coraz to pochlebniejsze wiadomości, które panna Janina skwapliwie do domu znosiła, pani Ptaszkowa otaczała go coraz to większą sympatyą i w duchu nawet czasami rozważała, czyby się nie przydał na zięcia. Gdy rano w wigilię Bożego Narodzenia panna Janina wspomniała matce, że Władysław przyjechał do Krakowa na kilka tygodni, pani Ptaszkowa sama zaczęła mówić o nim z uznaniem.

Popołudniu, gdy p. Ptaszek powróciwszy od golarza, zaczął się ubierać w ciasny anglez, rzekła pani domu:

— Będzie nas przy wilii trzynaście osób. Liczba nieparzysta a w dodatku trzynastka.

— Prawda! — zawołał mąż. — Ośmioro dzieci i nas dwoje, to dziesięcioro, dwaj praktykanci i subjekt, to trzynaścioro. Nie ma rady, trzeba kogoś zaprosić.

— W ostatniej chwili łapać ludzi nie wypada — zauważyła Janina. — Każdy się domyśli, że jesteśmy gościnni z konieczności.

P. Ptaszek ubrał się czemprędzej i poszedł szukać czternastej osoby. Powrócił już ku wieczorowi straszliwie zły.

— Nie mogłem nikogo złapać, nikogo — mówił zasapany. — Chciałem zabrać Szymona i obiecałem mu koronę w dodatku, byle z nami choć godzinę przy kolacyi posiedział, ale on mi powiada: „Ja sam szukam kogoś do pary, bo nas troje zasiądzie do wieczerzy: ja, córka i syn".

— Obraził go ojciec niepotrzebnie — zauważyła ze smutkiem Janina.

— Widzicie! Obraził! — mruczał p. Ptaszek. — Wielki mi dygnitarz!

— Po co mu obiecywałeś koronę? — strofowała go żona. — Przecież to katolicka wieczerza święta, a nie jakiś interes za tryngeld.

Pan Ptaszek milczał, czuł jednakże aż nadto, że wyrzuty żony i córki są słuszne. Nie chcąc dać za wygraną, wyszedł do sąsiedniego pokoju i tam usiadłszy na kanapie, udawał obrażonego. Janina tymczasem zbliżyła się do matki i zaczęła z nią pocichu mówić.

— Słuchaj no Józiu — odezwała się po chwili pani Józefowa. — Obraziłeś Szymona i jego dzieci w takie uroczyste święto, idźże teraz i zaproś ich wszystkich na wilię. Ich jest troje, nas trzynaścioro, więc razem szesnaście osób, do pary. Będzie i wilk syty i koza cała.

— Cała, nie cała; nie pójdę i kwita! — odparł p. Józef.

— To ja do stołu nie siadam — zawyrokowała pani Józefowa.

Nastało milczenie, które wreszcie przerwał zniecierpliwiony małżonek:

— Jakże ja mam iść do Szymona, skoro mi już raz odmówił? Mam się po raz drugi błaźnić?

— To Janinka zaprosi ich listownie i koniec. Chłopak ze sklepu niech zaniesie list — odrzekła p. Józefowa.

P. Józef milczał.

— Odpowiadaj, przecież jesteś panem domu — nagliła żona.

— Rób, jak chcesz — odpowiedział z rezygnacyą pan domu.

W godzinę później p. Józef rozmawiał w najlepsze z Władysławem, wypytując go ciekawie, ile razy widział papieża.

Henryk Josse.

Literatka z Prus Zachodnich.

Warunki pracy kulturalnej w duchu narodowym wszędzie są u nas ciężkie, bo nigdzie nie mamy zupełnej swobody; ale najcięższe są na kresach, jako wystawionych na najbliższy, najdotkliwszy napór wrogich żywiołów.

Łatwo to zauważyć we wszystkich dziedzinach rozwoju duchowego; najjaskrawiej atoli odbija się to na charakterze piśmiennictwa kresowego. Czy weźmiemy pod uwagę Śląsk jeden i drugi, czy Prusy Zachodnie czy Wschodnie, wszędzie zobaczymy jakby pierwociny dopiero tego ruchu literackiego, który w innych dzielnicach przedstawia tyle najrozmaitszych rozgałęzień i tyle stopni udoskonalenia.

Bo na kresach nie chodzi o piękno, o artyzm w tej najwyższej skali rozwinięcia, do jakiej doszedł u pierwszorzędnych narodów ucywilizowanych, lecz przedewszystkiem o karm duchową, coby zdołała pokrzepić wśród bolesnych przejść, na jakie życie narodowe jest narażone. Nie o głębokie zaciekania się psychologiczne, nie o ten rozbiór duszy ludzkiej na najdrobniejsze włókienka, jakim się popisują zwolennicy kierunków najnowszych; lecz o potrącenie najgłębiej leżących, więc najelementarniejszych warstw życia wewnętrznego dbać muszą ci, co pragną to życie uchronić od napływu trujących narodowe poczucie pojęć i wyobrażeń, nasuwanych codziennie przez tuż obok żyjący pierwiastek obcy.

I czytelnicy też, do których pisarze kresowi przemawiają, są przeważnie inni od tych, jacy w innych dzielnicach składają ogół inteligentny. Czytelnikami tymi są chłopi lub ludność miejska robotnicza; wogóle t. zw. warstwy niższe i średnie. Rozumieją oni potrzeby najbliższe, dotykalne; w tych sprawach mają pewne wyrobione zdanie; ale w subtelności duchowe, czy to z zakresu, nauki czy sztuki wdawać się nie mogą, bo ich nie pojmują. A jeżeli wyobraźnia ich potrzebuje pokarmu, to pragną raczej cudowności a przynajmniej nadzwyczajności zajmującej, aniżeli dokładnych obrazów życia powszedniego, które im dolega. Oni mają tej powszedniej codziennej rzeczywistości dosyć, i bodaj w wyobraźni pragnęliby się od niej uwolnić. Stąd lubią nagłe przemiany losu, zawikłania niebezpieczne, z których się przecież w końcu bohater czy bohaterka szczęśliwie wydobywa; stąd środki melodramatyczne, w literaturze wytwornej przedmiotem drwin będące, ich nie tylko zgoła nie rażą, lecz owszem przejmują zadowoleniem. Poczciwość, dobroć, cnota muszą tryumfować koniecznie, a występek, zbrodnia — znaleść karę widomą, dotykalną i jawną. Nie sposób wykonania, lecz treść stanowi wszystko w utworach dla tej sfery czytelników; czynniki estetyczne grają tu rolę bardzo podrzędną, etyczno-główną, zasadniczą.

Temi słowy, charakteryzującemi zlekka nasze piśmiennictwo kresowe, musiałem, jak sądzę, koniecznie poprzedzić wzmiankę o działalności najwytrwalszej z pomiędzy pracownic na polu literackiem w Prusiech Zachodnich. Chociaż od lat blisko 25, ogłasza drukiem swe pisma, nazwisko jej mało jest znane w innych stronach kraju; w swojej atoli dzielnicy otrzymywała nagrody na konkursach dramatycznych; a jej utwory znajdują i chętnych nakładców i licznych czytelników.

Mówię tu o pani **Annie z Bardzkich Karwat(owej)**.

Pierwszy znany mi jej utwór pochodzi z roku 1878. Jestto pięcio aktowy dramat, napisany wierszem p. t.: „Mieczysław I, książę polski" (Toruń). Poszła tu za owoczesnym prądem, zmierzającym ku wydoskonaleniu naszego dramatu historycznego z osnowy dziejów ojczystych; ale nie oparła kolizyi na starciu się żywiołu niemieckiego ze słowiańskim (lubo o niem nie zapomniała wzmiankować); lecz na wewnętrznym zatargu pomiędzy wyznawcami dawnej wiary i tymi, co lgnęli ku nowej; myślą zaś przewodnią było, „że jedność tylko nas zbawić może".

„Mieczysław" — to wyraz młodzieńczych, poetyckich rojeń; wyróżnia się też tym rysem od wszystkich następnych utworów, pisanych już prozą (czasem z wplecionemi piosenkami) i wziętych z życia społecznego, powszedniego.

I tak, już w dwa lata potem ogłoszona komedya trzyaktowa: „Pieniądz czy osoba" (Toruń, 1880), maluje stosunki dzisiejsze, przeważnie szlacheckie z epizodycznemi scenami ludowemi (a właściwie służby dworskiej). Intryga mocno przypomina starą komedyę Marivaux, świeżo językowi naszemu przyswojoną: „Igraszki trafu i miłości".

Nastąpiła potem przeszło 10-letnia przerwa w działalności naszej autorki: poczem spotykamy się znowu z jej pracami, tym razem z życia ludu wziętemi, przedstawiającemi jużto rozstrajający, zgubny wpływ niemiecki na życie wiejskie („Na naszej glebie, obrazek w 2 aktach ze śpiewami", Gdańsk, 1894) jużto bolesne przejścia sieroty zakończone szczęśliwie („Kachna, obrazek w 3 aktach", Gdańsk, 1895); jużto demoralizacyę wkradającą się z miast do wiosek i stosunki fabryczne („Na służbie, sztuka ludowa w 5 aktach z piosneczkami i tańcami", Poznań, 1899).

Mając na pamięci to, co powiedziałem na wstępie o charakterze literatury kresowej, można zaliczyć te obrazki dramatyczne do udatnych, czyniącym zadość niewybrednym wymaganiom widzów i czytelników, dla których zostały przeznaczone. Autorka nie odtwarzała gwary ludowej i pisała językiem, jakim w tamtych stronach mówi klasa oświeceńsza — i słusznie, bo lud uważałby użycie swej gwary w druku za chęć przedrzeźniania.

W ostatnich dwu latach zwróciła się p. Karwatowa znowu do kreślenia scen z życia szlacheckiego i mieszczańskiego w Prusach Zachodnich. Mamy tu do zanotowania najprzód obraz sceniczny w 5 aktach p. t.: „Kwiaty i Kolce", (Poznań, 1901), wymierzony przeciwko niedorzecznym, śmiesznym i zdrożnym przejawom emancypacyi, z uznaniem wszakże dla rzetelnych studyów naukowych podejmowanych przez kobiety. Niewłaściwe pokierowanie się panien z młodszego pokolenia przypisuje autorka głównie brakowi nadzoru wychowawczego, zwłaszcza ze strony matek.

Z datą roku bieżącego ukazał się dramat 5-aktowy p. t.: „Pod błogosławieństwem matki". Bolesne starcia wynikają tu z lekkomyślności ojca rodziny, mieszczanina Jarogowskiego, który ulega wpływowi przebiegłego łotra, choć wie o jego łotrowstwach. Ofiarą tej lekkomyślności, prowadzącej do podpisania wekslu cudzem nazwiskiem, o mało co nie pada córka Jarogowskiego, idealnie nakreślona Tadea. Wypadek wzięty, jak zapewnia autorka z życia rzeczywistego, oswobadza przecie Tadeę od przymusu i pozwala jej pójść za głosem serca. Dramat ten ma w sobie sporo czynników istotnie wzruszających, ale dobrym nazwać go nie można, z powodu pobieżnego traktowania charakterów i brakuześrodkowania akcyi, raczej wlekącej się niż raźnie naprzód postępującej.

Najważniejszy utwór p. Karwatowej to obszerna powieść: „Dwa żywioły", (Poznań, 1902), osnuta na piekącej sprawie antagonizmu Niemców i Polaków w Prusach Zachodnich. Przedmiot niewątpliwie nadzwyczaj wielkiej doniosłości, wymagający i dobrego znawstwa stosunków i bezstronności w ich ocenie. Autorka stara się zachować spokój i bezstronność — i to stanowi główną zaletę jej pracy. Wykazuje ona, że nienawiść Niemców względem żywiołu miejscowego jest szkodliwa dla samychże nienawidzących i to zarówno pod względem ekonomicznym (brak chętnego i dobrego robotnika), jak i pod względem moralnym (naprężenie uczuć i myśli, kolizye w stosunkach towarzyskich, rozdrażnienie, rozstrój nerwowy), Wielka szkoda, że nie można wiele powiedzieć na pochwałę szlachty polskiej, którą autorka przeciwstawiła Niemcom. Jest ona poczciwa na ogół (p. K. nie zamilcza i o złych obywatelach), zacna, nawet pracowita; lecz nie okazuje ani wielkiej bystrości umysłowej, ani energii niezbędnej w takiem położeniu, w jakiem się znajduje. Główna postać dodatnia Teofil Śmiłowski nie umie się utrzymać przy majątku; a autorka nie postarała się o wykazanie, że to istotnie było rzeczą wprost niemożliwą; nie chce sprzedać wsi komisyi kolonizacyjnej, zbywa ją na licytacyi i dobra przechodzą we władanie komisyi. I autorka otacza go za to uznaniem powszechnem!... To za wiele dobroci dla niedołęgów, lub też za mało dbałości, by przekonać czytelnika, że Śmiłowski rzeczywiście na uznanie zasługuje.

Oto szkic działalności literatki z Prus Zachodnich. Nie rozszerzałem się nad wartością estetyczną, bo o nią autorce nie tyle chodziło, ile o dodanie otuchy spółziomkom, biedującym wśród ciężkich warunków ekonomicznych i jeszcze gorszych udręczeń moralnych, narodowych. To też i z naszej strony należy się p. Karwatowej podzięka za wytrwałość, z jaką w tym duchu przez ćwierć wieku na niwie, tak trudnej do uprawy, nie przestaje pracować.

P. Chmielowski.

Teatr współczesny.*

Faustyn Trybulak, „artysta dramatyczny", którego sylwetkę z tak przekonywującą prawdą nakreślił Zygmunt Kawecki w swym „Dramacie Kaliny", jest typem. Przypatrzcie mu się, a poznacie go z pewnością. Jest to „aktor starszy"; nos in pontificalibus, koło niego brodawka; dawno nie golony; zachrypnięty; peleryna, kalosze z cholewkami, czapka ze skórzanym daszkiem i t. p. Wszak znacie go z setek gorszych czy lepszych edycyj? Przyklaskiwaliście sami kiedy błaznował na scenie, „robił" tragedyę lub olśniewał „wkładami" wodewilowemi. Klaskaliście, ale — trzymaliście go zdala od siebie. Do „szumowin" społecznych zabieraliście go nierzadko. Widzieliście w nim sztukmistrza scenicznego. Do świątyni sztuki go nie wpuszczaliście. I słusznie. Bo i cóżby tam zrobił między rzeszą artystyczną — Faustyn Trybulak... aktor? A zresztą, on sam tak dalece się nie wpraszał do tych wrót, pod pojęcie czystej, prawdziwej sztuki nie pragnął być podsumowanym. Jego przekonania i sądy estetyczne, stały przecież w takim stosunku do sztuki, jak katarynka do orkiestry symfonicznej.

Zygmunt Kawecki wspaniale wyjawił najskrytsze myśli Trybulaka. Wcielił w swój dramat charakterystyczną ocenę: rozmowę o sztuce między „modern" autorem a Faustynem Trybulakiem, występującym tu w roli doradcy. W rubaszny, ale szczery sposób doradza moderniście stary aktor:

— Tylko bez filozofii! Albo piszecie dla wyższej inteligencyi albo do teatru!

A dalej:

— Czy słyszał kto puszczać jakieś głębokie i niezrozumiałe myśli na publiczność!... Pomyślcie ino: scena! Tysiące gęb gapi się i chce się śmiać! A tu: jakaś fantazya, ciężka jak armata! Nie znacie ludzi...

„Nie znacie ludzi!" ciska Faustyn Trybulak współczesnej sztuce i jej przedstawicielom. Nie znacie ludzi, nie znacie drogi do zdobycia ich serc, zachwytu, do utrwalenia powodzenia waszym produktom umysłowym.

Faustyn Trybulak ma po części słuszność. „Ludzie" stronią od „tych nowych" — woleli „starych", piszących dla Trybulaków role patetyczne, koturnowe, popisowe, wielkie.

A jednak — śmiało powiedzieć można — w sztuce dramatycznej typ Trybulaków *był;* nie ma go więcej między podrastającą generacyą aktorską, wszedł jako etap rozwoju sztuki aktorskiej do literatury. Teraz tragiczny Trybulak staje się figurą coraz śmieszniejszą, znikł ze scen stołecznych, tuła się jeno gdzieś na głębokiej prowincyi, a i tu biada na obojętność „publiki", której sympatyę wrzaskliwie tak łatwo dawniej szturmem zdobywał.

Miejsce Trybulaków zajęli Kamińscy, Solscy, Kainze, Zacconowie, Antoiney.

Skąd oni się wzięli między aktorstwem, w sztuce współczesnej?

*

Piętnaście lat mija, kiedy w Paryżu pojawił się człowiek, mający w sztuce dramatycznej współczesnej stać się najskrajniejszym wywrotowcem. Niejaki pan Antoine postanowił założyć scenę idealną, „un théâtre modèle, qui vivra par et pour la littérature". Postanowił i zamiar rzeczywiście doprowadził do skutku. 30 marca 1887 r. — data otwarcia nowej sceny jest datą dla dramaturgii współczesnej historyczną, niemal epoką. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwania. W trzy lata później mógł publicysta francuski Bergerat młodemu kierownikowi wystawić entuzyastyczne świadectwo: „En trois années, ce petit théâtre, sans ressources, sans troupe fixe, sans crédit et sans traditions, dirigé par une espèce de fataliste prédestiné, a fait, à lui tout seul, tout la besogne dramatique de France".

Margueritte, Hennique, Lavedan, Rosny, de Curel Courteline, Donnay — to przeważnie „wynalazki" Antoine'a. Ba, Ibsena, Björnsona, Tołstoja, Vergę, Hauptmanna, wszystkich on dopiero wprowadził na scenę francuską.

Powie kto: cóż wielkiego? Człowiek energiczny, przedsiębiorczy. Prawda. Lecz to nie wszystko. Antoine stał się jednym z najwybitniejszych reformatorów teatru współczesnego. Poglądy jego, w czyn równocześnie wprowadzane, klinem wbijały się w przestarzałe „reguły" aktorskie, rozsądzały je i niweczyły.

„To, co dziś nazywamy sztuką mówienia — pisze Antoine — nie jest to więcej owa zachwalana dresura głosu i wprowadzanie sztucznego tonu, nie mającego nic wspólnego z naturą. Wszyscy nasi aktorzy mówią nosowo, by się łatwiej rozkrzyczeć mogli w naszych zbyt wielkich i nieakustycznych salach, a powtóre, ponieważ taki sztucznie wydobywany głos nie tak łatwo się zużywa. Wszystkie osoby w sztuce mówią jednakowo, bez względu na to, czy grają role starców czy młodzików, ludzi zdrowych czy chorych. Wszyscy niemal zrzekają się większej części odcieni głosowych, mocą których dopiero można określić właściwy charakter osoby działającej; u nas wogóle się nie mówi, tylko wrzeszczy... Za wszelką cenę pragnie aktor być plastycznym, zmieniać się w część składową obrazu i dlatego wciąż pozuje, porusza się na scenie tylko „pour poser devant la salle".

Wszystkie te naleciałości zwalcza Antoine. Powrót do natury, ucieczka przed manierą: oto jego dewizy. Sam nie uważa aktorstwa za osobny dział sztuki. Nie znosi „wielkich aktorów" rutynistów, naginających dramat do swej indywidualności, zamiast przeciwnie: swą indywidualność upodobniać do charakteru roli, treści sztuki, tendencyi autora.

„Ideałem aktora być powinno — twierdzi Antoine — stać się jakoby pianino, na którem autor mógłby wygrywać najrozmaitsze melodye. W tym celu musi ukształtowanie fizyczne umożliwić mu swobodne poruszanie ciała, władanie głosem, miną, a powtóre wykształcenie umysłowe czynić zdolnym do pojmowania słów, które ma wypowiadać. Jeżeli mu autor każe być wesołym lub smutnym, powinien nim być, nie wdając się drobnostkowo w przyczyny. To rzecz autora, wiedzącego przecież, czego ma żądać od aktora; jedynie za charakter danej osoby odpowiedzialnego".

Nie tylko stanowisko aktora jako jednostki pragnął Antoine zreformować. Dążeniem jego było zbliżenie do rzeczywistej miary zespołu. Pod tym względem łatwo dawał się unosić namiętności reżyserskiej. Z lubością wystawiał takie sztuki, w których tłum występował, którym on tak kierować umiał, iż niewidzialnemi niemal stawały się owe subtelne nici, sprzęgające ów tłum, a skupiające się w silnem ręku kierownika. „Donner la sensation de la multitude" — było jego hasłem.

W najogólniejszych zarysach przedstawia się w ten sposób teorya Antoine'a.

*

W teatrach niemieckich sprawa innym poszła torem. Tu postęp w technice gry scenicznej nie skupiał się około jednej osoby, symbolizującej go niejako.

Najdokładniejszy wyraz tej ewolucyi teatru i przedzierżgnięcia go w scenę odpowiadającą wymogom współczesnym, znajdujemy w dziele Dra Pawła Lindaua, swego czasu intendanta teatru w Meiningen. Szereg uświadomionych jednostek pracowało nad zmodernizowaniem teatru w Niemczech. Nazwiska same starczą za wywód. Przedewszystkiem sam Paweł Lindau, strzegący z pietyzmem nadzwyczajnym tradycyi „Meiningenczyków", pierwszej najświetniejszej sceny niemieckiej. Dalej pierwszorzędny reżyser Karol Heine. Zasługą jego było wykorzenienie z pośród aktorstwa t. zw. Coulissenreisserei, tak rozpanoszonej zwłaszcza na scenach prowincyonalnych., a dalej wprowadzenie na scenę niemiecką dramatów Ibsena w stylowym wykonaniu. Paweł Schlenther pierwszy przełamał w „burgu" wiedeńskim ów pseudo-klasyczny, deklamatorsko-pozujący ton, bezduszny koturn, napinanie głosu w sposób nienaturalny, wygłaszanie łokciowych tyrad tuż przed rampą „ad captandam benevolentiam" galeryi. Herman Bahr, odkrywca „gwiazd" nowych, skupiał wszelkie dążenia modernistów i uprzystępniał

* Jako materyału do tego szkicu użyłem następujących dzieł i rozpraw:
Dr Paul Lindau: Vorspiele auf dem Theater. Dresden. Verlag des Universum.
Herman Bahr: Antoine. Im Verlag der „Zeit".
Dr Alfred Berger: Über dramatische Darstellung psychischer Phänomene. Im Verlag der „Wage".
Carl Heine: Theaterschulen. Im Verlag der „Freien Bühne".

Domowa suknia.

Balzac napisał: „Dla kobiety — ubiór jest najpierwszą ze sztuk pięknych". — Naturalnie autor komedyi ludzkiej nie miał na myśli bezmyślnego strojenia się, który z kobiety robi często karykaturę modnych rycin. Balzac pisze „ubiór" (Toilette —) i dodaje, że powinien ten ubiór stać się dziełem sztuki. Kobieta, która na ubiór swój w ten sposób zapatrywać się będzie, nie będzie szukać ozdób i samej odzieży w drobiazgowej szpetności, często zupełnie nie nadającej się do rodzaju jej urody. Nic bowiem niema naprzykład śmieszniejszego jak mała, drobna kobietka w olbrzymiem boa z nastroszonych piór i ogromnym Gainsborughu czyniącym z niej coś nakształt muhomoru. Nawzajem wysoka i tęga kobieta, ubrana w mały lekki kapelusik, wzbudza uśmiech ironii. Do rodzaju więc swej urody bezwarunkowo powinien być dostosowany strój kobiety. Kokieterya kobieca, w miarę zastosowana i jednakowo użyta w domu, czy po za domem, kokieterya odnosząca się nie na pudrowaniu twarzy i zapiekaniu włosów — lecz polegająca na tej wykwitnej czystości i harmonii w liniach i barwach, stanowi tajemnicę uroku kobiet, które są najbardziej kochane. — O takich kobietach mówi się zawsze z pewnym miłym, lubym uśmiechem i myśl nasza dąży do nich, jak do ślicznej, czysto rozkwitłej rośliny. Strój kobiety nie powinien nigdy mówić „patrzcie na mnie" — lecz „nie doznajcie przykrego wrażenia, dostrzegłszy mnie". Czarująca barwa heliotropu przypomina delikatną wełnę, odziewającą cicho przesuwającą się po ścieżce życia kobietę. Płomienna barwa nasturcyi bije blaskiem, a purpura nakrapianych tulipanów boli nasze źrenice. W takich płomieniach przesuwa się szkarłat szaty żony Para Anglii. I boli nas wspomnienie takiej jaskrawej smugi, niemającej nic wspólnego z cichym czarem letnich wieczorów, podczas których blada liliowa wełna, przesuwająca się lekko wśród drzew, wprowadza nas w nastrój dziwnie miły i rozmarzenia pełny.

* * *

Kobieta odziana spokojnie i blado, nie ma ochoty opuszczać swego domu, wnętrza (interieur) które wypełnia, i ogrzewa obecnością swoją. Drogim staje się lekki szum jej szat, które się zwolna posuwają za nią po kobiercach, a gdy stanie — kręgami zataczają się dokoła niej, u jej stóp, jak fala posłuszna i rozkochana. Drogą jest jej delikatna pieszczota domowej luźnej szaty, która otula ją, jakby mgła, przed brutalnością zewnętrznych wpływów. Dlatego to matki nie powinny nigdy zaniedbywać owych sukien domowych w wyprawie swej córki. Często od nich zależy los pożycia „tych dwojga". Znam jedno małżeństwo, które pobrawszy się z miłości żyje w ciągłem nieporozumieniu. Kobieta nie chce bowiem nigdy włożyć... domowej sukni. Jest zawsze albo zaniedbana, albo ubrana jak do opuszczenia lada chwila progu domu. On zaś pragnąłby, aby pod kręgiem świetlanym lampy, wysuwała się ku niemu z luźnych fałd szaty, przypominającej krojem bizantyjską odzież, ręka biała i delikatna, jakby stworzona po to, aby zbierać nudę i troski z czoła swych bliskich. Gdy zapadną portyery, oddzielające dom od hałasu ulicy mężczyzna pragnie, aby nic mu już nie przypominało zewnętrznego świata. „Jesteśmy u siebie" mówi i szuka wzrokiem dopełnienia nawet w stroju żony tego „u siebie" — które jest mu drogiem. Chce mieć pewność, że nic już niema wspólnego pomiędzy niemi a śniegiem i zawieją że cały wieczór do nich należy i że danem mu jest odpocząć wzrokiem na pięknych fałdach spokojnej szaty, opływającej postać jego żony. I ta, która rozumie ten drobiazg, ma wielkie „atu" w ręku. Często wśród hulanki, w której zanosi się na dłuższą, kto wie, orgię, coś miga przed oczyma mężczyzny. Jasny krąg lampy a przed nim cicha kobieta, która jakby duch wypływa ze znanej domowej szaty. Ona — w tej sukni, zapach werweny lub heliotropu, szeroko otwarty kołnierz, wspomnienie białej szyi, rąk drogich, migających jak lotusy z oprawy szerokich rękawów... i coś Pięknego wkrada się do restauracyjnej knajpy. Ona wsuwa się ze szmerem swej sukienki, szmerem długich wełn tak mu dobrze znanych. Przypomina sobie, jak ona idzie powoli, niosąc lampę w ręku, jak staje w progu i dół jej twarzy oświetla się nagle a dokoła uszów igrają puszyste kędziory włosów. Dobry, spokojny uśmiech rozjaśnia ją na równi ze światłem. Stoi tak chwilę w progu, jak ta, która wnosi ze sobą ciszę i ukojenie. Potem zbliża się do stołu, stawia lampę i posuwa fotel, na którym ma usiąść. Każdy jej gest jest spokojny i spokój ten opływa ją całą, jakby astralną powłoką. Spokój ten wypełnia całe wnętrze mieszkania i oto kilka godzin ciszy, obrachunku z myślą własną, lub książka roztwarta... a z niej wypowiada się dusza obca, która wkrada się w ten spokój, jak ktoś trzeci, a przecież łączący się ideą z dwoma pulsującemi duszami. Ta myśl, to wspomnienie kobiety, zostawionej w tem „Wnętrzu", do którego już nikt, krom duchowej istoty, wkroczyć nie może, — często wyprowadza mężczyznę z progów knajpy i każe mu iść ku tej cichej, spokojnej rozkoszy. A sprawia to obmyślenie i otulenie się w szatę, zastosowaną do siebie, do swych gestów, charakteru, myśli. Często zbyt ostry, kłótliwy charakter kobiety zmienia się nagle. A przyczyna — drobna. Oto — włożyła na siebie mięką, długą, jasną suknię domową. Czuje instynktem, iż głos jej o dźwiękach zgrzytliwych, jest w dysharmonii z łagodnością barwy i linij, które ją otaczają. Modyfikuje głos, dostraja go niejako do pięknego, delikatnego odcienia szaty. Za głosem idzie gest, który staje się powolniejszy, bo linie długich fałd nie mogą się łamać w konwulsyjnych rzutach. Zewnętrzne objawy wpływają we wnętrzne jej ducha. Siedząc nieruchomo w ciszy i zamyśleniu, kobieta przestaje interesować się szpetotą rzeczy małych i bez znaczenia. Mimowoli myśl jej idzie na poszukiwania istoty życia, istoty większej, piękniejszej, głębszej. Zaczyna pojmować przyczyny smutków, żalów i bolów nie tylko swoich lecz i tych, którzy są od niej zależni. Zaczyna się wsłuchiwać w szept serca wtedy, gdy zdławiła w sobie spazmatyczne łkania i głośne wybuchy śmiechu. W pozie, w piękności linij, uczy się piękności linii duchowej, która powinna iść z równą dla ogółu łagodną miłością i pobłażaniem. Odczuwa teraz piękno domowego zacisza, stroi je w kwiaty i stara się przystosować do swej własnej piękności. I taka kobieta jest ocalona. Gdy raz pojmie wdzięk łagodności kobiecej, będzie zawsze tą „dobrą" — a choć mężczyźni za demonami gonią do dobrych zawsze wracają! —

* * *

Na zakończenie parę słów Björnsona.

„W każdym kufrze (z sukniami) jest coś, co się stać może sztuką."

A dalej.

„To na czem się zna malarz, rzeźbiarz, poeta, wszystko w sobie mieści strój kobiecy."

I jeszcze — Lydya mówi...

„Nasz strój wszystko w sobie mieści. Cząstkę nas samych — to znaczy — wówczas gdy go mamy na sobie... A że my same..."

Langfred odpowiada:

— Jesteście zachwycające...

Czy więcej potrzeba?...

Gabryela Zapolska.

je zrozumieniu ogółu, który przekonywał o konieczności patrzenia na scenę tak, jak gdyby oko widza było soczewką, skupiającą wszystko, co się poza „czwartą ścianą“ na scenie dzieje.

*

Nasuwa się interesująca kwestya: jakie wobec takich zmian stanowisko zajmie właściwy spirytus movens sceny — reżyser?

Jak reżyser wyglądał dawniej, a jakiego potrzebuje współczesny teatr? Wyczerpującą na to odpowiedź dał Hermann Bahr. Dawniej — powiada — był reżyserem człowiek poważny, szanowany powszechnie, którego głównem zadaniem było utrzymanie porządku. Miał on uważać, by aktor się nie spaźniał, by się wyuczył roli, a zachowaniem się nie dawał powodu do niesnasek lub nawet zgorszenia. Takim był klasyczny, tradycyjny rezyser.

Z biegiem czasu rozwinął się drugi typ. Był to adwokat antora, jego pełnomocnik i zastępca idei wobec aktorów. Tak go pojmował Goethe, wyznaczając reżyserowi kontrolę „ob die Schauspieler alles genau so machen, wie der Dichter es sich gedacht hat“.

Był to więc już postęp. Reżyser, jak trafnie zaznacza Bahr, nie stawał się już więcej policyantem teatru, lecz dopiął rangi zastępcy autora. Było to za czasów rozkwitu sceny weimarskiej.

Wreszcie trzeci, najświeższy typ. Tu już reżyser nie występuje w charakterze zastępcy cudzych myśli. Tu sam staje się twórczym, na własną rękę działać poczyna. Reżyserowi współczesnemu chodzić powinno nie o to, by się ten lub ów aktor popisał, lecz o wytworzenie takiego zespołu, w którym najwspanialej rozgorzeć mogłoby oddziaływanie dramatu na duszę widza.

Dobór wszelkich środków i sposobów na to oddziaływanie — to jego misya.

Dla takiego reżysera jest zarówno aktor, jak też sam autor narzędziem, mocą którego można wykrzesać efekt „słowa“.

*

Wobec tak pojętego reżysera jest aktor niejako instrumentem, o duszy indywidualnej, jednakowoż zespolonej dla wyższego, indywidualnego celu.

Okoliczność ta została przez niektóre sfery krańcowo pojętą, przyjęła formę karykaturalną.

Mówię o tych, którzy w teatrze maryonetek widzą najradykalniejsze i najodpowiedniejsze rozwiązanie efektu scenicznego. Maeterlinckowskie „drames pour marionettes“ dodały tylko bodźca zwolennikom tego rodzaju sceny. Bo też interesujący był to problemat. Szereg dramatów Maeterlincka, odznaczających się właśnie jak najintenzywniejszem rozbujaniem strony psychicznej, jak najsilniejszem zaakcentowaniem życia duszy, częstokroć tylko nawpół świadomego, obsłoniętego mgławicą tajemniczości — autor sam przeznaczył „pour marionettes“. I uczyniono też w Paryżu próbę. Zagrano „Wnętrze“ w ten sposób, iż na scenie poruszały się same maryonetki, a za sceną aktorzy wygłaszali słowa, ilustrujące działalność mechanicznie poruszanych figur.

Teoretyczne uzasadnienie tej nowalii opiera się głównie o twierdzenie Riccoboni'ego:

„Kiedy bacznie się przyjrzymy — powiada — budowie ciała ludzkiego, spostrzeżemy, iż nigdy człowiek nie jest tak pięknym, jak wówczas, kiedy stoi na obu nogach niezbyt od siebie oddalonych, a ramionom i rękom pozwala opaść tak, jak tego naturalny ich ciężar wymaga. Rozumowanie zaś nad pozycyą przeszkadza najpierwotniejszym wymogom piękna“.

Innemi słowy oznacza to, iż autokrytycyzm, któremu aktor jako żywy organizm podlega, przeszkadza mu w kompletnem wcieleniu w rolę. „Artysta — powiada teoretyk — któryby wszystkie swe myśli potrafił uspić, by tylko instynkta wrodzone występowały, byłby wcieleniem doskonałości“.

Typowy przykład przesady teoretycznej! Propaganda bezmyślności aktora, dającego się temsamem zastąpić maryonetką, jest wypryskiem karykaturalnym.

*

Od krzykliwego, patetycznego Trybulaka do maryonetki, nieskomplikowanej, skupionej w sobie, prostolinijnej w ruchach figury ludzkiej — oto bieg teoryi o aktorze. Zacząłem od jednej krańcowości, a dobiegłem do drugiej. A pośrodku znajduje się sporo nadzwyczaj ważnych dla rozwoju dramaturgii zagadnień, sporo jakoby szańce spiętrzonych uprzedzeń i trudności, które zburzyć koniecznie potrzeba, by wybojem utorować drogę racyonalnym i postępowym czynnikom scenicznym.

Bertold Merwin.

Ostatnie dwudziestolecie literatury.

Nie łatwem i nie wdzięcznem jest zadaniem być historyografem współczesnych. Krytyk podejmujący je musi posiadać rzadki, niedościgniony prawie przymiot bezstronności i objektywizmu, dar zaparcia się osobistych sympatyj i upodobań, wstrętów i niechęci, umiejętność wcielania się w ducha epoki. Z wyżyny perspektywicznej musi oceniać główne linie wytyczne, prądy i kierunki, typy i postaci uosabiające główne przejawy myśli społecznej i twórczego ducha. A jakimkolwiek będzie duchowy wizerunek epoki, stworzony przez krytykę współczesną o współczesnych, z natury rzeczy wartość literackiego dokumentu mogą mieć tylko ogólne linie konturu, odciskające się w sposób impresyonistyczny na umyśle historyka. Światła i cienie, jakie on ze swego indywidualnego poglądu rzuca na poszczególne postaci autorskie, będą zawsze pojęciem względnem, sądem subjektywnym, który dopiero perspektywa kilkudziesięciu lat ukaże w świetle racyonalnej krytyki. To też każda próba tego rodzaju, witana zawsze przez współczesnych z łatwo zrozumiałem zainteresowaniem, budzić będzie głosy namiętne. Chwalić ją będą nad miarę ci, co ujrzą w poglądach autora odbicie własnych upodobań, sympatyj i sądów krytycznych, namiętnie obniżać będą jej wartość inni, do przeciwnych autorowi zaliczający się obozów literackich, politycznych i estetycznych. A zwłaszcza u nas, gdzie wartość pracy mierzy się siłą stanowiska, jakie ktoś zająć zdołał w środowisku życia społecznego, i zależy od poparcia obozu politycznego, do którego autor należy, próba stworzenia zarysu współczesnej literatury więcej niż każda inna praca poruszyć musi namiętności i ambicye interesowanych. Wszak do dziś dnia nie przebrzmiała jeszcze wrzawa, jaką obudziła ogłoszona przed trzydziestu laty książka Piotra Chmielowskiego o naszej literaturze po roku 1864, której każde następne wydanie wznawiało zaciekłe przeciw autorowi wycieczki.

Od czasu ogłoszenia książki Chmielowskiego na horyzoncie piśmiennictwa naszego zarysowały się nowe silne kierunki, wystąpiły nowe prądy i nowe indywidualizmy twórcze, bieg myśli współczesnej zmienił w wielu miejscach swe łożysko. Na widowni literatury pojawiły się zastępy młodych, którzy zwartym idąc i silnym zastępem, wnieśli nowe myśli, świeże idee i pomysły, rozpoczęła się ewolucya kierunków, zapowiadająca nowe życie.

Po licznych próbach monograficznych, podejmujących pewne objawy tego nowego ruchu, ukazała się książka ujmująca w obszerne ramy dwutomowego dzieła całokształt obrazu naszej literatury pięknej w ostatniem dwudziestoleciu. *)

Autor jej p. Wilhelm Feldman, podejmując napisanie tej śmiałej, ważnej i żywotnej książki, dał dowód zarówno odwagi cywilnej jak pracowitości wielkiej. Znaczne ułatwienie znalazł w materyale już opracowanym przez poprzedników i w swoim temperamencie, który widnieje na każdym kroku na kartach jego książki. Ten temperament unosi go często za daleko, wytrącą ze spokoju i przedmiotowości, jaką winno być nacechowane dzieło tego rodzaju, z drugiej jednak strony nadaje jego pracy żywy koloryt, czyni je błyskotliwem, zajmującem, pisanem nie tylko myślą i mózgiem, ale i nerwami. Nie wolny od uprzedzeń i osobistych sympatyj i antypatyj, zaznacza je wszędzie wyraźnie, śmiało i bez ogródek, ale podkreślając swój sąd i swe zapatrywania, stara się je umotywować rozumowo ze stanowiska utylitaryzmu i ideałów narodowych. A aczkolwiek na wiele jego poglądów zgodzić się nie można, wiele nieuzasadnionych zachwytów usprawiedliwić, wielu jego wywodów podzielić, to w każdym razie książce jego przyznać należy zalety nie małe. Autor umiał uchwycić przynajmniej główne i zasadnicze rysy umysłowości najmłodszego pokolenia piszących — a lgnąc sercem, przekonaniami i upodobaniami do obozu rewolucyonistów literackich, wycieniował charakterystykę „młodych“ z miłością i zapałem literackiego neofity.

Obraz piśmiennictwa rozwinięty w książce Feldmana jest barwny, pełny i wyrazisty.

Rozpoczyna się rokiem 1880, niezupełnie może właściwie, bo rok ten nie zaznacza żadnej daty w rozwoju naszej umysłowości. Jestto doba wszechwładnego panowania pozytywizmu w polityce i poezyi. W Warszawie sztandar postępu unosi wysoko w swej świeżo założonej „Prawdzie“ Aleksander Świętochowski, a w swych „Wskazaniach politycznych“ buduje konkretny program „uduchowienia sił narodowych do najwyższej miary“. Ten program źle zrozumiany na razie wyradza się w rodzaj filisterstwa apatyi, której następstwem utylitaryzm w czynie i literaturze.

Z takiego wstępu rozwija p. Feldman obraz literackiej ewolucyi w latach ośmdziesiątych. Na widowni pierwszych drgnień nowego okresu stoją w poezyi Asnyk, Gomulicki i Konopnicka, w powieści Orzeszkowa.

Wizerunek Asnyka celuje trafna, wyrazista charakterystyka: „Nikt tak jak on nie wzniósł się na wyżyny wieku, nie ogarnął orlim wzrokiem widnokręgu, nie wyśpiewał tak jak on jego treści“. Zostawia on za grobem wszystkie insygnia królewskie i arcykapłańskie dawnej romantyki, budzi się w nim chłodna refleksya uczucia. Pochylony nad głębiami najtajniejszych zagadnień losów ludzkości, poeta staje się intelektualistą, gubi wątek myśli wiążącej go ze współczesnymi. Po trafnej charakterystyce mniej trafne konkluzye. Trudno się bowiem zgodzić ze zdaniem, że „racyonalizm Asnyka chłodem przejmuje najmłodsze pokolenie“, że „brak haseł społecznych odstręcza odeń bojowników zasad, że w kilka lat po śmierci pamięć jego okrywa się już cieniem zapomnienia. Zdanie to o tyle błędne, że w całej tak uwielbianej przez p. Feldmana produkcyi poetyckiej „Młodej Polski“ na każdym kroku czuć bezpośredni wpływ poezyi Asnyka, naśladownictwo jego formy, języka i racyonalistycznej filozofii. Jest on czytanym dziś więcej i chętniej i rozumianym lepiej niż za życia a cenionym według tej skali, którą ogół mierzy arcydzieła największych swych duchów poetyckich. Przy pieśni Asnyka nieudolnem kwileniem tylko nazwać się godzi wszystkie razem wzięte wzloty poetyckie wyzwolonej ponad wszelką miarę uczuciowości i indywidualizmu „najmłodszych“.

Kolejno przesuwają się przed naszemi oczami śmiało rzucane profile literackie Gomulickiego: racyonalisty parnasowca, i całego szeregu epigonów romantyzmu jak: Leonard Sowiński, Włodzimierz Stebelski, Czesław Jankowski, Deotyma, po których wiedzie nas autor do najwybitniejszej przedstawicielki nowego pierwiastku w poezyi, do Maryi Konopnickiej. Portret literacki autorki „Pana Balcera“ jest jednym z najświetniejszych i najtrafniejszych w charakterystyce. P. Feldman w toku swej pracy zdradza od czasu do czasu naprzemian to żywsze błyski zapału, to pewne omdlenia wrażliwości. Poezya Konopnickiej należy do tych, które wywołują u niego wyrazy uzasadnionego zachwytu. Bardzo trafnie wyznacza autor główne linie jej twórczości: do liry wielkich poetów nawiązała nową strunę — lud, w nowoczesnem, społecznem znaczeniu.

Orzeszkowa i Prus zajmują w rozwoju programu społeczno-narodowego i literackiego punkta wytyczne i z tego względu kładzie p. Feldman na te dwie świetne postacie literatury blaski pełne jaskrawego światła i gorącego umiłowania. Pierwsza reprezentuje zdaniem jego produkt środkowy między utylitaryzmem i szczerem uczuciem i jest łącznikiem między młodem i dawniejszem pokoleniem, jako przedstawicielka najszlachetniejszych ideałów myśli narodowej, syntezy pierwiastka szlacheckiego i ludowego, drugi, zaczerpnąwszy siłę twórczości w pozytywizmie, przerósł go i rozwinął pierwiastek męskiego, silnego uczucia.

Wskrzesicielem pierwiastku szlacheckiego, który wpływa dodatnio na ożywienie poczucia narodowego, jest Sienkiewicz. Potężny indywidualizm twórczy autora „Quo vadis“ nie przemawia jednak do duszy p. Feldmanowi. Nazywa go malarzem słowa, powieści jego „Quo vadis“ i „Krzyżacy“, arcydziełami artyzmu podyktowanemi dydaktyką. „Wielki w utrzymywaniu uczuć polskich nie wywiera wpływu na idee i dążności.“

Z powieścią reprezentowaną przez cały zastęp mniejszych osobistości załatwia się p. Feldman dosyć pobieżnie. Zaznaczywszy w ogólnych zarysach charakter powieści w latach ośmdziesiątych, wyróżnia główne jej rodzaje, a więc szlacheckie (Bykowski, Wilczyński, Jordan, Junosza), wielkomiejskie (Wołowski, Rogosz, Aer, Gawroński), salonowe (Gawalewicz). Osobny rozdział poświęca naturalizmowi w powieści, widome głowy tego kierunku uznając w Dygasińskim, Zapolskiej, Sygietyńskim, Ostoji i Niedźwieckim. Powieść ta rozszerzywszy znacznie sferę obserwacyi i plastyki stanęła, zdaniem autora, jak pomost między starą sztuką a nową, jako przygrywka do nowych kierunków, które niebawem na całej linii twórczości rodzimej błysnąć miały.

Zobrazowaniu tych nowych kierunków od r. 1890 począwszy, poświęca p. Feldman cały drugi tom swej książki. Chłodny, objektywny ton, który pierwszej części dzieła nadawał cechy powagi i równowagi myśli, zostającej pod rządem rozumu i refleksyi, ustępować poczyna gorączce. Zapał krytyka podnosi się zwolna ale stale, porywa go i unosi ostatecznie na zawrotne jakieś wyżyny nieumotywowanych zachwytów i entuzyazmu, który autor napróżno usiłuje wpoić w czytelnika.

„Myśl obolała, sceptyczna wobec siebie samej próżna dumy, opuszcza skrzydła (!) i zwraca się do głębszej swej istoty do tej wielkiej, nieznanej, do zdetronizowanej przez brutalną świadomość królewny: Duszy“. Oto jak się poczynają narodziny poezyi dekadentów uosobionej w twórczości „schyłkowców“ epoki Miriama i Langego, inspirowanej wpływem dekadentyzmu francuskiego, i jego wyobrazicieli Verlaine'a Baudelaire'a i Mallarmé'go, Poego i Harancourta. W poezyi tego ostatniego, przyswojonej równocześnie przez obu wzmiankowanych parnasowców, poraz pierwszy jawi się pojęcie i apoteoza „Nagiej duszy“, która odtąd nieprzerwanie towarzyszyć nam będzie jako wykładnik estetyczny prądów najnowszych... Jesteśmy zdaniem p. Feldmana u punktu zwrotnego. W umysłach, w literaturze dokonywa się na całym zachodzie głęboka rewolucya. Nowa kultura nie może uchwycić swego ideału, stwarza typ schyłkowca w Płoszowskim Sienkiewicza i całej galeryi bezdogmatowców, jak Belmont, Mańkowski i Dąbrowski, smutek i pessymizm kładą swe piętno na całej dziedzinie twórczości. Występuje wpływ Skandynawców Ibsena, Strindberga, Garborga, Hamsuna, symbolizm i mistycyzm zdobywają prawo obywatelstwa w poezyi i na scenie.

Chaos jest jednak przejściowy, trwa krótko. Konkretny wyraz dążeniom poetyckim daje Kazimierz Tetmajer wcielający w pełne artyzmu słowo, tęsknoty nowoczesnego człowieka za szczęściem. Jan Kasprowicz uderza w struny nowe, silne „schyla się nad przepaściami najtajniejszych zagadnień bytu człowieczego i przykłada ucho do łona ziemi rodzinnej“, aby „ustami ducha ludu“ wylewać zdroje elementarnej swojskiej poezyi w pełnych grozy apokaliptycznej hymnach „Ginącemu światu“. Za tymi dwoma idzie cały rój młodszych.

Teatr wchłania nie mniej gorączkowo nowe prądy i wydatniej jeszcze wykazuje wpływ prądów obcych. Po pierwszej fali skandynawskiej zjawiają się Hauptman i Suderman jako przedstawiciele poetyckiego realizmu i wzniosłości. Pod ich wpływem zjawia się oryginalny talent Kisielewskiego o odcieniu nastrojowym, i krocząca jego śladami Zofia Wójcicka, dalej reprezentujący baśń poetycką na scenie Rydel i Szukiewicz. Za ich sprawą scena modernizuje się w zupełności pogłębiając olbrzymią przepaść między wczorajszemi a dzisiejszemi upodobaniami.

Okres „Młodej Polski“, wystąpienia całego szeregu modernistów grupujących się około sztandaru „Życia“ krakowskiego, a następnie wlokący się ich śladami zastęp poetyckich epigonów, na razie hołdujących jeszcze zasadzie supremacyi słowa nad myślą, nastraja p. Feldmana coraz głębszym kultem dla dorobku poetyckiego wstępującej w szranki drużyny Apollina. Widzi on w nich przyszłość literatury, syntezę poezyi i myśli narodowej, wyzwolenie duszy i najwyższe wzloty poetycznego ideału.

Że autor tak głęboką wiarę żywi do przyszłości nowych kierunków winić go za to nie można. Chorobliwe teorye Przybyszewskiego i bezkrytycznych jego wielbicieli odurzyły już tylu, że trudno robić komuś zarzut, że dał się porwać ogólnemu prądowi.

Silnemi i plastycznemi rysami uwydatnia autor twórczość i stanowisko Stanisława Wyspiańskiego i Stefana Żeromskiego, tych dwóch niby na krańcach przeciwległych a w gruncie rzeczy wzajem się dopełniających organizacyj twórczych najnowszej epoki. Słowa szczerego uniesienia są tu usprawiedliwione i umotywowane. Wyspiańskiego przedstawia jako konieczny rezultat wszystkich artystycznych zdobyczy i ewolucyj swego czasu, jako poetę, który ma zmysł szósty, łączący go najściślej z duszą narodu i dozwalający mu wyśpiewać wszystkie ideały i tęsknoty duszy zbiorowej. „Poeta ten wchłonął w siebie całą treść dziejów, męczeństwa wzlotów, przetrawił przeszłość naukową a kończąc rachunek ze starym światem, zapowiada nowy, swój własny“.

W tych ogólnikowych określeniach zamyka p. Feldman całe swe uwielbienie dla Wyspiańskiego, jakby suggestyonując czytelnikowi swe wrażenia, a olśniony wielkością inspiracyi twórcy „Legionu“ i „Wesela“, nie znajduje dlań ani jednego słowa uwagi krytycznej.

Podobnie traktuje i ocenia autor Stefana Żeromskiego. Widzi w nim posąg bólu całego pokolenia, duszę do głębi przyjętą, która jako postulat religii, jako dogmat stawia cześć dla człowieka a jedyne złe widzi w krzywdzie bliźniego i dlatego na programie działania stawia obowiązek. Walka z oportunizmem i zgnilizną, podsycanie ognia idei — oto cel działania i najwyższe pożądanie duszy tego społecznego apostoła prawdy i sprawiedliwości,

Szlakiem wskazanym przez wielkich przedstawicieli idei kroczy zastęp najmłodszych poetów, którzy wpatrzeni w wielkie wskazania przywódców ducha, wywołali przemianę w duszy pokolenia. Autor znajduje się najwidoczniej pod suggestyą tej garstki, bo widzi w dorobku jej prawie zakończenie drogi poetyckiej pokolenia, streszczenie ewolucyi, jaką poezya nasza przechodzi w epoce poromantycznej. Zastęp ten tworzą poeci: Władysław Orkan, Gustaw Daniłowski, Maryla Wolska, Leopold Staff, i Tadeusz Miciński, przedstawiający „przezwyciężenie dekadentyzmu, unarodowienie się poezyi i wyzwalanie jej w pierwiastku „Mocy“.

Zachwytów p. Feldmana nad dorobkiem tej plejady podzielać nam trudno. Niewątpliwie każdy z wymienionych wnosi do poezyi obok wytwornej formy, wiele uczucia i wiele głębokich myśli, ale obok fali wezbranej romantyki, cyzelerstwa słowa i tęsknot nieuchwytnych, będących wyrazem osobistych uczuć piewców, trudno widzieć w nich wykwit ducha narodowego. Sam autor błąka się w ogólnikowych, paradoksalnych określeniach, charakteryzując twórczość każdej z tych postaci z osobna. Jak słusznie podnosi Piotr Chmielowski, z tych 80 tomów dorobku poetyckiego z r. 1901, który p. Feldmana wprawia w ekstazę zachwytu, co najwyżej pięć stanowi istotnie wzbogacenie literatury, a reszta, to owoce owego entuzyastycznego przyjmowania każdego rymopisa, który się zaciągnął pod chorągiew modernizmu.

Jak już na wstępie zaznaczyłem, książka — jedna z ciekawszych jakie się w ostatniej dobie na polu krytyki literackiej u nas ukazały, ma charakter raczej publicystyczny, niż naukowy. Jest ona w znacznej mierze zbiorem impressyj, rzuconych z nadmiarem wiary, z gorączkowym zachwytem zwłaszcza w odniesieniu do najmłodszej twórczości, i to osłabia jej znaczenie. Wrażliwy umysł autora w każdej zapowiedzi talentu, w każdym błysku myśli widzi wielkie zadatki, które jednak w rzeczywistości rzadko, jak uczy doświadczenie, realizują się na chlubę literatury. Ta dobra wiara, ten entuzyazm będący świadectwem gorącego ducha, pozwala książkę odczytać z ciekawością, ale nie napoi czytelnika przekonaniem i wiarą autora, który zresztą nie wszystkich pisarzy sprawiedliwie ocenia (np. Gruszeckiego) wielu pomija, (A. J. Sęk, Mieszkowski, M. Bierzyński, Godlewski, K. Rojan) i t. d. innych, którzy zaledwie z kilku artykułów znani, na pierwszorzędne wysuwa stanowisko.

Układ książki niepotrzebnie rozpada się na dwa działy, a mianowicie główny obraz ujęty w rozdziały i zapiski bibliograficzne, gdzie autor często powtarza literackie charakterystyki, a nawet dopełnia je cytatami. Psuje to harmonię i jednolitość obrazu, który w ten sposób traci na spoistości.

W. Prokesch.

*) Wilhelm Feldman: Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu. Lwów, W. Altenberg. Tomów 2. Stron 240 i 348.

Nowe poezye Kasprowicza.

(Jan Kasprowicz: Salve Regina. Poezye. Lwów. Księgarnia Polska. Str. 84).

Główną struną współczesnej poezyi polskiej jest tęsknota. Po nucie wiary i nadziei, szarpanej dysonansem rozpaczy, jaka rozbrzmiewała w poezyi romantycznej; po spokojnej rezygnacyi, mąconej przez salonowy katzenjamer, jaka panowała w czasie pozytywizmu; po pobudkach i hasłach, które dzwoniły w utworach pierwszych społeczników — nastał czas wejścia w siebie, w głąb duszy swojej, będącej Ewą, wygnaną z raju. Pra-macierz ona i dziecię zarazem; pani silnego Adama, zarazem niewolnica jego; pełna niewinności pierwszego człowieka, zarazem smaku jabłka świadomości dobrego i złego. Pamięta ona sen o raju utraconym, wije się w mękach rodzenia, ona, całą ludzkość nosząca w swem łonie, ona wygnanka — na piaskach pustynnych. Wie, że wszystko, co było, z niej wypłynęło — jaką miałby Adam bez niej „historyę“, — wie, że z niej wypłynie wszystko, co będzie, ale stracony jej związek z Bogiem, ale na męki oddana i śmierci szereg niezliczony, na służbę pracy, pot wysysającej i w niewolę Adamowi — więc siedzi na piaskach pustynnych i żali się i modli i tęskni i łka...

Pełna jest tych pogłosów dzisiejsza nasza Poezya, indywidualnym w niej — wyraz owej tęsknoty.

Tęsknota Kasprowicza najbardziej jest żywiołowa i rozlewna. Akuszerka-sztuka nie zdołała przeciąć sznura, łączącego syna chłopskiego z łonem ziemi i oto żyje on dotąd krwią jej tętnicy, oddycha jej rytmem, cierpi każdym jej bólem, przeżywa w sobie wszystkie jej wstrząśnienia, przeszłość i teraźniejszość ciałkami krwi przez wieki i pokolenia wędrującą — on, poeta prawdziwy, mający zawsze świadomość wygnania z raju. I prześladuje go to wspomnienie od kolebki i szepcze mu za młodu proste, za proste, „społeczne“ myśli o sprowadzeniu tego raju na ziemię i każe mu w mirażach widzieć przebłyski owego stanu wszechżycia i wszechmiłości na wspólnem łonie w obliczu Boga...

Kontrast między owym snem a rzeczywistością, między ową żywiołowością a cywilizacyą, między ową świat cały ogarniającą tęsknotą a świat cały wypełniającą nędzą — to źródło i charakter najnowszej poezyi Kasprowicza. Nie można nigdy zapomnieć, że natura to nawskroś słowiańska, słowiańskiego pełna zdrowia, słowiańskiej elementarności i naiwnej anty-racyonalności; natura, która wyszła cało z krwawej kąpieli szkoły i kultury niemieckiej, żadnych nie zawierając kompromisów ni na prawo, ni na lewo. Z jednej okolicy ziemi kujawskiej pochodzą: Stanisław Przybyszewski i Jan Kasprowicz— jednakowemu ulegali ciśnieniu atmosfery „wyższej kultury“ germańskiej. Ale gdy pierwszy, krew mając — jak sam wyznaje — zdegenerowaną, kulturze tej uległ, Kasprowicz inaczej. Jego pierwotna starosłowiańska natura patrzy dotychczas na „cywilizacyę“ wyższą oczyma dziecka wiejskiego, w którem tkwi pół proroka (Słowianie są też jedynymi, którzy w nowszych czasach wydają proroków!), i wobec nieprawości i „grzechów“ przemądrej przerafinowanej ludzkości ma uczucie, że szatan powstał a świat ginie...

Wynika stąd nietylko ideowy lecz i artystyczny pierwszorzędnej wagi czynnik. Sztuka, jakkolwiek z pnia indywidualnego i narodowego wyrasta, przestaje być przykuta do miejsca i chwili, buduje na pierwiastkach wszechludzkich — wieczystych, sub specie aeternitatis...

„Salve Regina“ — śpiewa dusza jego wtór tej pieśni, która tyle milionów krzepiła obrazem nadludzkiego majestatu i jeszcze świętszej słodyczy i dobroci.

Wieniec Twą skroń oplata,
Zwity z promiennych liści:
O, niech się w nich nadzieja biednych ludzi
[ziści!
Biała, jak śnieg Twa szata,
a z białego-ć łona
lilia Twą czystością rośnie ubielona.

Wzbiera, huczy, szumi pieśń, rozbija sklepienia świątyni — ale zarazem rozbija kręgi, oddawna uświęcone, wybiega na bezmierne rozłogi ludzkości, wchłania wszystkie wijące się tam krzyki, wszystkie pełzające tam nędze, wszystkie pod niebo bijące skargi. Rośnie, potężnieje, przerasta jednostkę z jej bólem, radością, nadzieją i zawodem. Kto śmie narzekać na ból swój — na miłości brak i duszy na wieki poślubionej?

A ty, czyjąś duszę
tak umiłował, abyś mógł zapomnieć,
że jest granica między złem a dobrem?
W czyjeś ty serce spojrzał z taką wiarą,
aby jej siła mogła ci je rzucić
do twoich stóp nieskalanych?

W morzu powszechnej nędzy, która nas oblewa; w obliczu śmierci, która wyrównuje różnicę między dobrem i złem; wśród widnokręgów przyrody swojskiej, czarów pełnej i słodyczy choćby melancholijnej, budzi się serce, budzi się hymn dawny... I szatan może śmiać się, on wie jeden, że

nędza jest wszędzie —

ale w duszy ożyła już tęsknota przedwieczna, u ramion wyrosły już skrzydła dawne: Salve Regina! Królowo łaski, królowo miłości, pani biała i miłosierna: Salve!

Hymn ten, na czele zbioru umieszczony, jest najwspanialszym z tych, które w ostatnich czasach z pod pióra poety wypłynęły. Bez owego nadludzkiego naprężenia uczuć, które w hymnie „Święty Boże“ wprost na strzępy szarpie duszę i rozpływa się w łkaniu bez słów, bez końca —, również pod sklepienie nieba bije, dolę całą ludzkości obejmuje i nie zgrzytem beznadziejnym, lecz złotym promieniem łaski kończy. A czyni to w sposób, znany nam już z hymnów poprzednich. Wiersz, niekrępowany utartą formą rymową, płynie według taktu wewnętrznej rytmiki serca, raz bluzgając wprost falami krwi gorącej, to bijąc majestatycznem andante religioso, aby zejść na ziemię, na naszą ziemię, i tu rozpływać się w łzy, w lirykę, w ton z pod serca ludu wyrwany.

Cicho, zwolna wóz się toczy,
na nim w żółtej skrzyni
na wiek wieków zgasłe oczy,
jak światła w pustyni.
Twój-li ojciec? matka twoja?
Czy najdroższe dziecię?
Gdzież jest radość? gdzież ostoja?
na burzliwym świecie?
Kilka mogił, kilka krzyży
śród piasczystej zboczy —
coraz bliżej, coraz bliżej
wóz się ku nim toczy.

I oto nuta polska w tej poezyi wszechludzkiej, ogólno-światowe mającej znaczenie, i oto nuta ludowa w tej wysokiej poezyi polskiej — zgrzebna koszula a wspanialsza od gronostajów, od dawnych pasów litych i delij...

Mniej tan ów wydaje się właściwym w „Judaszu“.

I jego poeta traktuje symbolicznie, on uosabia jeden z odwiecznych pierwiastków duszy ludzkiej. Wszyscyśmy zdrajcy — woła Judasz, ścigany strasznem widzeniem wzroku Chrystusowego.

Wszyscyśmy zdrajcy!
Człek człowiekowi jest równy —
Ja zwę się Judasz i tyś jest Judaszem, —
Wszyscyśmy bracia Judasze.

Znowu olbrzymia koncepcya, buchająca pasyą szatańską, która rozpiera pierś zdrajcy. Ale polska nuta ludowa, przewijająca się tutaj miejscami, jak wstęga krasna, zbyt odbija — jak odbijałby od nastroju Hymn św. Franciszka Azsyżu, w którym też poeta szczęśliwie jej unika. W Judaszu i w Św. Franciszku czuć przytem jakby pewne znużenie, brak koncentracyi.

Świeżym i przewspaniałym jest poeta znowu w poemacie ostatnim: Marya Egipcyanka. „Biedna Marya“, kobieta, kobiecość wędruje ku umęczonemu Zbawicielowi. Ale dusza w niej czysta, ale miłość w niej wielka, więc wybawienie jej bliskie. Dopada też krzyża, wielbi go taką duszą, jaką posiada, ale całą duszą, ale rozpływa się i ginie w miłości.

Wielka mnie gnała tęsknica —
Któż większą słodycz mi poda?
Bierz moje ciało i duszę —
Jeszcze-m ci piękna i młoda.
Po co ci, bogów wybrańcze,
Dla ludzkiej ginąć nędzy?
Szczęściem ma warga się śmieje,
Zcałuj to szczęście coprędzej!...

kończy poeta trochę prozaicznie — „umilkł śpiew Maryi Egipcyanki, albowiem przygłuszył go hymn najwspanialszy, który cnotę zrównywa z grzechem — on, cudotwórczy hymn śmierci“...

Wielka jest rezygnacya w tym światopoglądzie, ale ponad nią króluje miłość.

Apoteozą miłości jest cały ostatni zbiór hymnów Kasprowicza — wśród wstrząśnień najdramatyczniejszych kojącą, wśród bluźnierstw najkrwawszych — świętą, wśród serca całej ludzkości — najbardziej polską. Z nią nowy wiek idzie — wspaniała struna w lutni wielkich mistrzów.

(=)

Odpowiedzialny redaktor i wydawca
Michał Konopiński.

Z Drukarni Literackiej (przedtem pod firmą Nowa Drukarnia Jagiellońska) w Krakowie, ul. Jagiellońska 10. Rządca Drukarni L. K. Górski.